



N^o 29.

Prenumerata w Warszawie:
roczn e rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 18 lipca 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3½.

TOM II.

Treść numeru. Pogrzeb cygański (wiersz z drzeworytem).— Kronika tygodniowa.— Z turnieju szachowego.— Do poety Z. K. (wiersz).— Przegląd polityki zagranicznej.— Obozowisko cygańskie na Saskiej kępie pod Warszawą (z drzew.) — Pałac w Smielowie (z drzeworytem).— Typy i postacie ludowe (drzeworyt).—Korespondencya Tyg. Illustr. z Paryża.— Rozmaitości.— Jowisz i Minos (bajka).— Puchar srebrny (drzew.)— Strach ma wielkie oczy, opowiadanie z prawdziwego zdarzenia, skrócił Wacław Poncet-de-Sandon (dokończenie).— Szachy.— Rebus.— Zgon pieśniarza (wiersz).— Korespondencya od redakcyi.— Pomiedzy Scyllą a Charybdą, powieść p. Waleryą Morzkowską (dokończenie).— Dodat. nadzw.: Sięrota, obrazek z życia amerykańskiego (d. c.)

POGRZEB CYGAŃSKI.

Czyj tam śpiew płynie cichymi tony?
Czyje na słońcu pluszczą stąpania?...

Ni się żałobne kołyszą dzwony,
Ani się orszak świetny odsłania.

Śpiew między drzewa jak duch ulata,
Tuła się, płacze cichy i błady,
A za nim ludzie z innego świata,

Z trumienką czarną pośród gromady.

Za trumną matka. Cygańskie dziecię
Śpieszy ułożyć w grób zimny, cichy,
W wilgotny piasek i białe kwiecie,
Co się wonnemi chyli kielichy.



POGRZEB CYGANSKI. (Rysował z natury Kostrzewski).

To ona śpiewa; żegna piosenką
Dzięciatko swoje, żegna na wieki,
I długo, długo coś nad trumienką
Szepece, że świat ją czeka daleki.

Śpij, ty aniołku, w kołysce z ziemi,
Niech wierzba żalu niesie ci łezki.
Matka odejdzie w świat, za swojemi,
Gdzie ich prowadzi wyrok niebieski.

Cyganom w drogę!... i cóż im groby?
To drogokazy co je Bóg święci.
Im trzeba dalej... precz lży żałoby!...
Tułaczom wiecznym cóż po pamięci?

Floryan.

Kronika tygodniowa.

Pamiętam że kiedy zdarzyło mi się czytać o dawnym przepychu pańskich dworów, zawsze z pewnym rodzajem ubolewania zastanawiałem się nad laufkami, których rzemiosło zmuszało do biegania na równi z końmi, dla towarzyszenia karetom i powozom.

Takie zapasy człowieka ze zwierzęciem wydały mi się nieludzkiemi, a wielu podzielało ze mną to przekonanie. Utrzymywano że żaden laufer nie dochodził do późnego wieku, że wszyscy oni zamierali na słabości piersiowe. Krażyły podania ludowe o nieszczęśliwych laufferach. Julian Horain napisał nawet o okrutnym Niemcu, który wszystkich chłopców ze wsi zmuszał do laufferowania i tym sposobem stawał się przyczyną ich śmierci.

Otóż zdarzyło mi się w tych dniach rozmawiać z szybkobiegaczem bawiącym obecnie w Warszawie, a rozmowa ta zmieniła zupełnie przekonania moje pod tym względem.

— Nie wierz pan tym wszystkim przesadom, rzekł on do mnie. Wszak widzisz mnie: silny jestem i zdrów i wcale niepodobny na suchotnika. I nie sądz pan żeby bieg szybki a wytrzymały był jakimś przymiotem z natury udzielonym. Wcale nie; to tylko pewna gałąź gimnastyki, a gimnastyka u każdego da się zastosować i dla każdego jest zdrową. U mnie nogi i piersi są takie, że pewno nie z lada kim chciałbym się pomieniać na te tak ważne części ciała, a jednak w mojem rzemiosle nogi i piersi najczęściej są na szwank narażone. Zresztą nie sądz pan, żeby było rzeczą tak trudną przebiec jednym tchem wiorst kilkanaście, a nawet i więcej. Tylko pierwsze trzy wiorsty są naprawdę najtrudniejsze, apotem człowiek wprawia się w bieg jak machina, idzie i idzie ciągle i prawie znużenia nie czuje. Wszystkie trzymania chustki w ustach i t. p., są blagą zupełnie niepotrzebną. Naturalnie że trzeba biedz równo, regularnie i podług pewnych zasad; ale zato zmęczenia nie czuje się prawie wcale i można tym sposobem ubiedz kilkanaście mil na dzień. Nawet na długie dystanse, na podróż dajmy na to ztąd do Paryża, podjąłbym się wyzwać do walki każde zwierzę z szybkości i wytrzymałości w biegu znane. Bo człowiek nietylko pod względem moralnym najlepiej jest ze wszystkich stworzeń od natury obdarzony, ale i pod fizycznym także, z tą jednak różnicą, że moralne dary stara się on wszelkimi środkami rozwijać w sobie, a fizyczne zatracca często pomimowiednie. To źle, bo doskonała tylko pod tym względem równowaga może stanowić wyższość człowieka.

Tak mówił szybkobiegacz i twierdzenie swoje poparł zwycięstwem jakie w zeszłym tygodniu odniósł w wyścigu z koniem, dosiadanym przez wyborowego jeźdźca, na przestrzeni wiorst dziesięciu.

Zresztą mowy tej wcale za przechwałkę uważać nie należy. W armiach starożytnych, mianowicie rzymskich, tak zwane pośpieszne marsze stanowiły osobną naukę żołnierza, i podczas kampanii w Azyi Syllus, Lukullusa lub Pompejusza, przestrzeń przez ich wojska w krótkim czasie przebiegana, zdaje się nie do uwierzenia.

I w nowszych czasach zwrócono już uwagę na konieczność szybkości ruchów; niektóre korpusy wyborowe ćwiczą się umyślnie w biegu, żeby ile możności pod tym względem dorównać kawaleryi, a francuzcy strzelcy wincenty robią nieraz dziennie, i to bez

znużenia, od 30 do 40 kilometrów (kilometr odpowiada naszej wiorście).

Takie zastosowanie marszu wojskowego do biegu nazywa się we Francyi *pas gymnastique*.

* * *

Piszą nam z Podlaskiego:

„W zeszłym tygodniu mieliśmy straszną burzę. Przy nadzwyczajnej ciemności spadł grad, a raczej bryły lodu w najrozmaitszych kształtach i wielkości niekiedy kurzego jaja. Prócz niezliczonych szkód w zbożu, grad ten pokalęczył ludzi i dobytek. Burza trwała niecałą godzinę, pozostawiając po sobie zniszczenie i przestach nie do opisania.

Od maja dęszczy nie mieliśmy, skutkiem czego jarzyny przepadły. Zato od 4-go b. m. mamy codziennie prawie ulewy i pioruny (tego i w Warszawie niebrak). W sobotę pomiędzy Janowem a Cieleśnią spadł tak ulewny dęszcz, że w godzin kilka po ulicach i drogach pływać można było.

Na domiar rozlicznych nieszczęść, które okolice naszą nawiedzają, mamy codziennie przerażające pożary. Kilkanaście folwarków spaliło się. Przyczyna ognia nieznana.

Kilka dni temu przybył po północy do domu dzierzawca folwarku Koczkówka, a tylko co położywszy się, ujrzał palące się zabudowania. W pół godziny dom, inwentarze i wszystkie budynki stały się pastwą płomieni.

Straszniejsze jeszcze pożary zdarzyły się w Chorbowie, Kokówce, Dobrzyniu. W chwili kiedy to piszę, luna pokazuje się w stronie Janowa. Na rozmaite domysły ludziska wpadają i przestach ogólny panuje po wsiach. Włościanie niektórych wsi myśla organizować nocne straże, do czego i dwory także mają należeć.“

* * *

Pomiędzy wędrownymi artystami ulicznymi, którzy na lato zwłaszcza w znacznej liczbie przybywają do Warszawy, odznacza się niewidomy muzyk, któremu za cały instrument służą tylko dłonie. Uderzając w nie różnym sposobem i za pomocą ust wyciągając powietrze z pomiędzy palców przy uderzeniu, potrafi on wydobywać cały szereg tonów, układających się w melodyjną całość. Jest to coś nakszałt gry na drewniakach, z tą wszakże różnicą, że dźwięki z dłoni wydobyte mają przyjemniejsze i bardziej harmonijne brzmienie. Wirtuoz, zapytany zkąd wpadł na ten pomysł, odpowiedział że oślepnawszy, szukał sposobu do życia, a przysłuchując się brzmieniem jakie uderzenie dłoni o dłoń wydaje, powziął myśl ich zużytkowania. Posłużyło mu do tego dziwnie muzykalne ucho, którego czułość od czasu utraty wzroku podwójnie się wzmogła.

Podróżował on daleko i był nawet w zeszłym roku na wystawie paryżkiej, gdzie mu się wiodło dość dobrze. Sztukę swoją bierze na seryo, uważając się za artystę w całym znaczeniu tego wyrazu i twierdząc że nowy systemat wykonawczy wymyślił. To pewna że wszystko wygrać potrafi, i każdy śpiew, choćby raz tylko usłyszany, powtarza odrazu. Warto go doprawdy słyszeć, zdaleka bowiem trudno sobie zdać sprawę zkąd pochodzą te dźwięki, do których podobnych trudno byłoby wyszukiwać w całej skali różnych instrumentów muzycznych. A poczucia muzycznego, jakim ten wirtuoz uliczny jest obdarzony, życzylibyśmy niejednemu z tych, którzy słusznie czy niesłusznie nazwę artystów sobie przysadzają.

* * *

Nie umiemy sobie wytłumaczyć, dlaczego tak ucichęło o rezultacie konkursu dramatycznego we Lwowie. Rezultat jego oddawna przeciw powinienby być wiadomy; listy bowiem korespondentów do gazet wymieniły już przed kilku tygodniami tytuły sztuk, a nawet przeczuwać dawały nazwiska autorów, mających najwięcej szans powodzenia za sobą.

Miałaby właśnie ta gadatliwość dziennikarska wpłynąć na opóźnienie przysądzenia nagrody? Ale cóż temu winni autorowie? Nie oni zapewne podawali do wiadomości korespondentów owe przypuszczenia o domyślnym wyroku sędziów, bo ich intersem, zwłaszcza w razie niepowodzenia, jest właśnie utrzymanie tajemnicy. Nie pojmujemy takiej przewłoki, której nie usprawiedliwia bynajmniej wy-

jazd sędziów na letni wypoczynek, boć odpoczywać należy dopiero po ukończonej pracy.

Jeżeli zaś żadna ze sztuk do konkursu przedstawionych nie zasługuje na nagrodę, wypadałoby szczerze to obwieścić, motywując zdanie stosownym rozbiorem tych sztuk przynajmniej, które do ubiegania się o pierwszeństwo miały prawo. Taka strata czasu jest krzywdą wyrządzoną autorom, którzy w razie nawet odmowy nagrody, mogliby się postarać o przedstawienie sztuk swoich na jakiej scenie. A wiadomo ile na takim przedstawieniu autorowi dramatycznemu zależy i jak przeważnie wpływa ono na dalszy postęp jego pracy.

W obec przedstawienia, nagroda udzielona na konkursie martwą jest tylko literą, przynosi ona zaszczyt, pewien rozgłos, trochę zysku materyjalnego i nic więcej. Ale z przedstawienia dopiero na scenie sądzić można o rzeczywistej wartości pracy i czerpać zachętę do dalszego wytrwania na tej drodze.

* * *

Niektórzy twierdzą że samobójstwo jest chorobą; utrzymują także iż istnieje epidemia samobójstw. Gotowimy wierzyć temu, sądząc po dziwnej łatwości, z jaką mania samobójstwa rozszerza się w danych chwilach w pewnych miejscowościach.

Podanie mnóstwo nam tego dostarcza przykładów, z których przekonujemy się że miejscowość zwłaszcza silne wywiera tu działanie. Znana jest dobrze historia owych szyldwachów francuzkich, którzy podczas konsystowania w Niemczech armii Napoleońskiej wieszali się na jednym i témże samém drzewie. Kiedy w przeciągu czterech dni czterech się powiesiło, trzeba było zmienić posterunek i tym tylko sposobem zapobieżono dalszemu szerzeniu się złego.

Pod Warszawą istniał niedawno jeszcze laszek zwany Pyrami. Otóż w tym lasku było drzewo posiadające także ów dziwny pociąg fatalistyczny. W przeciągu niespełna kilku miesięcy na tém drzewie powiesiło się troje osób, a dał temu początek młodzieniec powszechnie znany i lubiony w Warszawie. W kilka dni po nim powiesiła się baba wiejska, a potem znów włóczęga jakiś. Z rozporządzenia zarządu miejscowego, ścięto drzewo i wypadki ustały.

W jednym z domów w Warszawie istnieje okno, z którego dwie siostry w krótkim przeciągu czasu jedna po drugiej wyskoczyły, żeby zgruchotać się o bruk podwórkowy. Jedna zabiła się od razu, drugą, poranioną mocno, potrafiiono wprawdzie przywrócić do życia, ale przytomność straciła już nazawsze.

Więc samobójstwo, w znacznej części przynajmniej wypadków, można nazwać chorobą umysłową, działającą poniekąd epidemicznie, chociaż warunki w jakich epidemia ta się rozwija, nieoznaczone są jeszcze dokładnie przez naukę.

Znajdujemy się obecnie, jak się zdaje, pod wpływem właśnie takiej przypadłości epidemicznej, w Warszawie bowiem, jak ze sprawozdań policyjnych pomieszczonych w gazetach przekonać się można, samobójstwa mnożą się od pewnego czasu. Naliczyć można kilkanaście już takich wypadków, co tém bardziej jest rzeczą godną uwagi, że u nas w zwykłych okolicznościach samobójstwa są dość rzadkiemi.

Nie wchodząc w powody jakie wpłynąć mogły na usposobienie niektórych jednostek do tej strasnej zbrodni, możemy śmiało twierdzić, że silna wiara i głęboko wpojone przekonania religijne najskuteczniejszą bywają przeciwko niej ochroną. Człowiek pozbawiony tych przekonań, najłatwiej właśnie ulega zgubnym pociągom tego rodzaju, rozpaczliwe bowiem zwątpienie o wszystkim i przeczenie wszystkiemu, jest głównym powodem lekceważenia własnego istnienia.

W religii więc, w pociesze jaką ona nieść zdolna, w ufności w Najwyższe miłosierdzie szukać należy skutecznej przeciw złemu zarady. Pojmujemy szturm gwałtowny jaki rozpaczliwe myśli przypuszczają nieraz mogą do serca i umysłu człowieka; ale im silniejszy napad, tém oddziaływanie skuteczniejszém być powinno.

Zresztą każdy dobrze myślący, nietylko słowem ale i uczynkiem powinien walczyć przeciwko objawom symptomatów tego rodzaju, które w samym początku

łatwe są do spostrzeżenia, a więc i zaradzić im nie trudno.

* * *

Od niedawna bawi w Warszawie pan Dzikowski, autor kilku dzieł dramatycznych, ogłoszonych drukiem w różnych pismach (Tygodnik nasz drukował komedią tego autora p. t. Kartka wycięta) i przedstawionych z powodzeniem na scenach lwowskiej i krakowskiej. Podobno w skutek zbawiennych usiłowań dzisiejszej dyrekcji naszych teatrów, w celu zasilenia repertoaru miejscowego oryginalnymi utworami, Kartka wycięta ma być wkrótce przedstawioną na scenie teatru Rozmaitości. W każdym razie chętnie witamy u siebie młodego autora, przed którym szeroka, a daj Boże świetna przyszłość stoi jeszcze otworem.

* * *

Inny także młody autor pod szczęśliwą gwiazdą w świat występuje.

Chcemy mówić o panu Szoberze.

Niedawno odegrana na scenie komedycja jego Stara panna, wzmoczona przeważnie talentem Żółkowskiego, przychylnie przyjęta została przez publiczność, a nawet krytyka odezwała się dość sympatycznie o tym początkującym utworze.

Dzisiaj zapowiadają nam drugą już komedią pana Szobera, po której mamy prawo więcej wymagać, przełamanie bowiem pierwszych lodów powinno było nadać autorowi silniejsze poczucie spełnienia wymagań scenicznych i piśmienniczych.

Ale niedość na tém.

W jednym z ostatnich numerów Tygodnik nasz pomieścił udatny obrazek wiérsem pana Szobera, pod tytułem *Obląd niedoli*, do którego pan Henryk Pillati charakterystyczną dorobił ilustracją.

Otóż ilustracja ta skłoniła dyrektora teatrzyku w Tiwoli, pana Russanowskiego, do przedstawienia pomienionego obrazka na scenie i korzystając z benefisu pani Bucholcowej, miejscowej artystki, przeprowadził ten pomysł do skutku za pomocą zręcznie ułożonej grupy z żywych osób, podłożony wiérse pod muzykę. Przedstawienie to podobają się ogólnie i powinnyby stać się bodźcem dla pana Russanowskiego, oraz artystów pod jego przewodnictwem zostających, do ponowienia usiłowań tego rodzaju.

Z turnieju szachowego.

Po dwumiesięcznych przeszedł zapasach turniej szachowy został ukończony, i w zeszłą sobotę nastąpiło już rozdanie nagród pomiędzy zwycięzców. Według przyjętego przez wszystkich uczestników regulaminu, partyj nierozstrzygniętych (rémis) nie liczone wcale, od ogólnej zaś liczby wygranych potrącano przegrane. Biorących udział w turnieju było razem 23, a że każdy z każdym grać musiał dwie partyje, wypadało więc na osobę po 44 partyje.

Po obliczeniu partyj przez członków ustanowionego ad hoc komitetu, okazał się rezultat następujący.

Nagrodę pierwszą (puhar srebrny pamiątkowy, którego kopią drzeworytniczą załączamy na ostatniej stronie dzisiejszego numeru, wykonany podług rysunku W. Gersona, w fabryce p. Wernera) przyznano p. *Szymonowi Winawerowi*, jako mającemu partyj wygranych 34.

Nagrodę trzecią (artystycznie wyrobione szachy metalowe, w ozdobnym pudełku i z odpowiednią szachownicą) p. *Janowi Kleczyńskiemu*, jako mającemu partyj wygranych 32.

Nagrodę trzecią (piękne album fotograficzne, z wizerunkami wszystkich osób biorących udział w turnieju) p. *Aleksandrowi Różańskiemu*, jako mającemu partyj wygranych 27.

Nagrodę czwartą (Tygodnik Ilustrowany i Wędrowiec za rok 1868) p. *Michałowi Landau*, jako mającemu partyj wygranych 23.

Los kapryśny, jak zawsze tak i tutaj, dziwne niekiedy wyprawia psoty, zdarzało się bowiem że gracze najsilniejsi, przegrywali partyje z nierównie słabszymi od siebie przeciwnikami. Pokazuje się że nawet w szachach przypadek gra pewną rolę,

a przynajmniej że wiele i tu zależy od chwilowego usposobienia grających i innych nieprzewidzianych okoliczności. Walka o pierwszą nagrodę toczyła się długo między pp. Winawerem i Kleczyńskim, którzy do końca prawie turnieju stali zupełnie równo, i dopiero ostatniego dnia niespodziewana przegrana p. Kleczyńskiego przeważała szalę na stronę p. Winawera.

Zamykamy to krótkie sprawozdanie jedną jeszcze uwagą. W ciągu ukończonego obecnie turnieju zdarzyło nam się słyszeć głosy, i to głosy poważne, powstające przeciw szachom, jako bezużytecznej i zabierającej dużo czasu, a więc dobrej tylko dla próżniaków, zabawce. Otóż zdanie to wydaje nam się względnie tylko uzasadnionem. Ze wszystkich gier na świecie, szachy niezawodnie najwięcej wymagają zdolności; kształcą one i rozwijają umysł, przyuczają do głębszego myślenia i ztąd w wielu nawet zakładach wychowawczych za granicą stosowane bywają jako środek pedagogiczny. Zresztą, choćby uważać je tylko jako przeciwstawienie grom hazardowym, jako środek zdolny w drobnej przynajmniej części oddziaływać przeciw rozbawianiu się bezmyślnemu, — to i tak już niewątpliwie wpływ ich okaże się zbawiennym. Nie przeczymy że i w szachach, jak wszędzie, przesada i zbyteczna jednostronność działać mogą szkodliwie; ale wyjątków za regułę żadną miarą brać nie należy, i dlatego pragnęlibyśmy szczerze, aby podobne turnieje szachowe peryodycznie u nas ponawiać się mogły.

Przegląd polityki zagranicznej.

17 lipca.

Telegram madrycki mileczy. Gęsta zasłona pokrywa wypadki zaszłe lub mające zajść na półwyspie iberyjskim, i gdyby nie sprawozdania półurzędowej prasy francuskiej, mało byśmy o tych wypadkach wiedzieli. Według Constitutionnela, spisek wybuchnąć miał w d. 9 b. m., lecz w wigilię zamachu odkrytym został. Nawet cel spisku hiszpańskiego dotąd nie jest znanym. Jedni utrzymują że progresiści wraz ze stronnikami unii zamierzali obalić ministeryum, inni zaś twierdzą że chodziło tu o zmianę panującego na korzyść księcia orleańskiego. Wydalenie księcia Montpensier z granic Hiszpanii, wiadomość o opuszczeniu Londynu przez generała Prima, wreszcie pogłoski o posunięciu wojsk francuzkich ku granicy hiszpańskiej, wszystko to przemawia za drugą wersją. Są to wszakże tylko przypuszczenia, gdyż wypadki w takiej tajemnicy się trzyma, iż nawet ambasador hiszpański w Paryżu nie zna położenia rzeczy, a margrabia Moustier wysłał ku granicy zaufanego agenta, aby zebrać jakiegokolwiek dane objaśniające. Jedna tylko rzecz, to jest aresztowanie generałów sprzysiężonych, potwierdzoną została urzędowo. Gazeta Madrycka (urzędowa) ogłosiła nominacje nowych generałów i przy tej sposobności oświadcza iż trzech, to jest generałów de la Torre Dulce i Bedoya, zesłano na wyspy Kanaryjskie, resztę zaś internowano po różnych miastach Hiszpanii.

W chwili gdy król pruski wybiera się do wód nadreńskich, dzienniki nie omieszczały przystań z tego wypadku i oddają się ulubionej teorii przypuszczeń, dowodząc między innymi, że król Wilhelm spotka się z cesarzem Napoleonem i że spotkanie to wpłynąć musi na rozwiązanie trudności politycznych. Cesarz Napoleon, według Hambur. Nach., pomyślał o osobistym zjeździe monarchów i to miało być głównym powodem wycieczki księcia Napoleona do Berlina. O podróży następcy tronu włoskiego różne obiegały wieści. Twierdzono że księżę nie uda się do Niemiec i nie spotka się z królem pruskim, gdyż Francya mogłaby upatrzyć w tém dążności do zawarcia nowego włosko-pruskiego przymierza. Tymczasem wbrew temu wszystkiemu księżę Humbert był już w Munichu, zkąd udaje się do Frankfurtu, a nawet w tym tygodniu jeszcze do Ems, kędy nastąpi spotkanie z królem Wilhelmem. Wypadek ten dowodzi, że pogłoski o oziębieniu się stosunków Włoch z Prusami były nieuzasadnione. Z Wiednia donoszą, że układy Węgrów z Kroatami toczą się bezustannie i że zgoda już nastąpiła, pod wpływem rozsądnych rad Deaka. Ten wysoki mąż stanu prze-

konać miał Węgrów, że odmawianie praw przynależnych Kroaty szkodzi przede wszystkim samym Węgom; Kroaci zaś ze swęj strony uznali, iż nie wszystkie ich życzenia obecnie ziścić się dadzą. Tym sposobem nastąpiło pogodzenie się dwóch nieprzyjanych żywiołów. Kwestya reorganizacji armii wywołuje niezwalczone kłopoty. Jak wiadomo, Wiedeń zgodził się na utworzenie milicyi honwedów w Węgrzech, milicyi posiadającej własny sztandar i komendę w języku krajowym. Komisya wojskowa, do której należał generał Perzel, znalazła że ustępstwo to nie jest dostatecznym i domaga się aby nie tylko pułki piechoty i kawaleryi były wyłącznie węgierskie, lecz nadto, aby brygady artyleryjskie oraz inżynierya polowa, które dotąd w Węgrzech z mieszanych narodowości są złożone, z samych się Węgrów wyłącznie składały. Przestraszony tém żądaniem gabinet przedlitawski, wysłał czempredę do Pesztu swego ministra wojny barona Kuhna, celem bronięcia przed sejmem węgierskim idei niepodzielności armii. Ugody z Czechami dotąd niema, a nawet szczegóły rozmowy p. Beusta z Palackim i Riegerem w Pradze, zaczynają być podawane w wątpliwosc. W ostatnich czasach Palacki i Rieger wystąpili z publicznem wyznaniem swęj wiary politycznej, w osobnym artykule dziennikarskim, w którym zaznaczają swoje sympatyje dla braterskiego narodu rosyjskiego, lecz przeczą jakoby kiedykolwiek zamierzali odrywać Czechy od korony habsburgskiej. Rząd w Pradze czeskiej wystąpił z taką gwałtownością przeciw dziennikom, iż codzienne pisma są konfiskowane i wszyscy prawie redaktorowie pozbawieni wolności.

Rozprawy budżetowe w ciele prawodawczém francuzkiem wykazują, że społeczeństwo tam wchodzić zaczyna w nową erę. Obecnie nie tylko opozycja, ale i członkowie większości napadają na ministrów i krytykują ich działania z taką surowością, jakiej od dwudziestu lat we Francyi nie widziano. Według wiarogodnych zapewnień, sami ministrowie przebąkiwać zaczynają o potrzebie odpowiedzialności ministeryalnej i burzą się kiedy minister stanu Rouher chce za nich w izbie przemawiać. Na jednym z posiedzeń minister skarbu, a podobno i minister wojny, nie pozwolili p. Rouherowi przemawiać za nich, dowodząc że oni są odpowiedzialni i sami to potrafią, minister zaś skarbu pojechał do Fontainebleau i podać się miał do uwolnienia, lecz cesarz nie zgodził się na to i uspokoił wzburzonego dostojnika. Bądź co bądź, widocznie zbliża się chwila, w której rząd francuzki zmuszony będzie do reform wewnętrznych, z czém zresztą sam się już nie tai, na jednym bowiem z ostatnich posiedzeń, p. Pinard minister spraw wewnętrznych publicznie oświadczył, że epoka ustalania porządku już skończona i że rząd cesarstwa wchodzi obecnie na drogę postępowego rozwoju swobód publicznych. Z mowy margrabiego Moustier, jaką ten minister miał w ciele prawodawczém, okazuje się że stosunki gabinetu tuileryjskiego z berlińskim nie są bynajmniej serdeczne, owszem naprężone, tak iż każde poruszenie kwestyj wiszących w Niemczech mogłoby doprowadzić do zerwania. Cesarz Napoleon opuszcza wkrótce Fontainebleau i udaje się do Plombières.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).

Do poety Z. K.

(Z pism pośmiertnych Juliusza Słowackiego).

Żegnaj, o żegnaj! archaniele wiary,
Coś przyszedł robić z mojm sercem czary,
Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
Wyrwał je z piersi, wziął we własne łono,
Ogrzał, oświecił, by nie poszło w trumnę
Ani spokojne mniej, ani mniej dumne.

Więc gdzieś, wysoko, u Boskiego celu
Chwała dla ciebie, o serc wskrzesicielu!
A dla mnie pokój, dla ducha i kości,
Bo tym obojgu trzeba spokojności...
Lecz jeśli ducha nadchodzą szyderce,
Lecz jeśli walka jest — daj mi serce!

Florencya, 4 grudnia 1838 r.

OBOZOWISKO CYGAŃSKIE

na Saskiej kępie pod Warszawą.

Przez kilka tygodni ciekawość mieszkańców naszego miasta obudzała dość liczna drużyna Cyganów, obozująca na Saskiej kępie, przy dawnym moście drewnianym, przez łakę prowadzącym. Tajemnicze to plemię indyjskie, od półpięta wieku tułające się po Europie, zachowało dotąd wszystkie cechy wschodniego pochodzenia swojego i nietknięte wpływem otaczającej je cywilizacji, dziwny i wielce charakterystyczny rzeczywiście przedstawia widok. Pan Wojciech Gerson, któremu zawdzięczamy załączony tu rysunek, zwiędził i zbadał na miejscu koczującą obecnie pod Warszawą gromadę i uprzejmie nam udzielił rezultat swych spostrzeżeń. Oto co pisze nasz artysta:

obcisłe, naszywane, buty długie. Wójt nosi krótką bekieszę o srebrnych guzach i laskę o srebrnej skówece i gałce długiej. Ubiór młodzieży (chłopców) jest także węgierski. Składa się z krótkiej koszuli o szerokich rękawach i hajdawerów długich a tak szerokich, że podobne są do spódnicy. Kobiety zamężne noszą chustki na głowach, pojedynczo w tyle zawiązane, w warkocze zaś mają powplatane różne świecicła, pieniądze srebrne, guzy szklane i porcelanowe, korale, naszyjniki z talarów, a częstokroć i złotych dublonów.

Rysy ich twarzy są wschodnie, cera ogorzała, w oliwkową wpadająca; obejście proste, ale nie bez godności, choć nacechowane gwałtownością gorącej krwi wschodniej.

Mężczyźni zajmują się kotlarstwem, a jak świadczą obywatele praczy, zręczni są w swoim rzemiośle. Kobiety wróżą przechodniom, zwyczajem Cy-

dmie między węgle. Ruch miechów odbywa się naprzemian i tym sposobem żar nie ustaje.

Nadmieniam że wszystkie twarze na rysunku moim są portretowane.

Dorośli mężczyźni mają długie włosy, które, kładąc kołpak na wierzch głowy, zakładają, aby się nie zwieszały z ramion.

Dzieciom rocznym (niemowlętom) związują włosy na wierzchołku głowy w kosmyk kawałkiem czerwonej tasiemki. Kosmyk ten sterczy i rozkłada się jak czub Indyan amerykańskich. Dziewczątcom matki już od niemowlęstwa robią naszyjniki ze szklanych wielkich korali koloru młecznego, niebieskich, czerwonych, zielonych i t. p.

Pałac w Śmielowie.

W dzisiejszym w. ks. poznańskim, blisko granicy



OBOZOWISKO CYGAŃSKIE. (Rysował z natury Gerson).

Namiatów znalazłem cztery, dwa większe i dwa mniejsze. W jednym z dwóch większych mieści się wójt cygański z rodziną, w drugim kotlarski warsztat; w dwóch mniejszych reszta przyborów i mieszkań. Większe namioty otworami stoją ku południowi, mniejsze ku północo-zachodowi. Kształtu są piramidalnego, utwierdzone na żerdziach i sznurach, kołkami w ziemię wbitemi naprzężonych. W każdym w głębi stoi wózek, którego dyszel na zewnątrz wystaje. Wózek jest miejscem spoczynku głowy namiotu (szatry). Liczba namiotów zdaje się odpowiadać liczbie rodzin; jest bowiem czterech starszych żonatych majstrów kotlarskich i tyleż żon. Dorośli dzieci nie mają. Najstarsza dziewczyna ma lat 14 i tyleż jeden chłopiec; resztę stanowią dzieci, z których najmłodsze niespełna rok mieć może. Wszystkich będzie ze dwadzieścia osób, dzieci bowiem liczba jest znaczna.

Cyganie ci pochodzą z Węgier, jak to ich ubiór świadczy. Węgierskie kołpaczki pilśniowe, spodnie

ganek. Młodzież, jeżeli nie wychodzi z wędką, lub nie igra nad wodą, rada wyprosić grosz lub trochę tytoniu.

Na załączonym rysunku przedstawiłem wnętrze szatry w czasie pracy kotlarskiej. Zupełnie oryginalny tu widzimy sposób urządzenia kowadeł. Są to grube i długie sztaby żelaza, z jednej strony ostro zakończone, z drugiej rozszerzone, jak zwykle kowadło. Wbite w ziemię pod kątem, dobrą siłę oporu przedstawiają młotkowi. Oryginalniejszym jeszcze jest miech poruszany rękoma. Składają go duże kozie skóry, sierścią nazewnątrz obrócone. Zwężone końce zaopatrzone są dwiema rurami metalowymi, wchodzącymi między węgle; rozszerzone zaś zamykają się i otwierają za pomocą drewnianych listew o skórzanych uszkach, w które wkładają się palce, tak iż przy pociągnięciu w górę worka, otwiera się go palcami, a powietrze nabrane przez następne zaciśnięcie listewek zamyka się w miech, z którego przez wylot do ziemi przytwierdzony uchodzą,

królestwa polskiego i miasteczka Pzdr, leży pod Żerkowem wieś Śmielów, jedna z najpiękniejszych siedzib wiejskich księstwa, własność rodziny Ostrogów-Gorzeńskich.

Majętność śmielowska tworzyła od wieków jedną całość z rozlicznymi innymi w tej stronie, których dziedzice w miasteczku Żerkowie rezydowali. Cała ta Żerkowszczyzna należała w czternastym wieku do Nałęczów z Ostrogora i Szamotuł, a w piętnastym do Kotów herbu Doliwa. Z tych sławny prymas i kanclerz koronny Wincenty, w niedalekiem Dębnie r. 1444 kościół wystawił, któremu Andrzej z Bnina biskup poznański nadał w r. 1447 dziesięcinę (decimam manipularem) ze Śmielowa biskupom przynależną. Z Kotówną w posagu przeszły te dobra przed r. 1480 do Ambrożego Pampowskiego wojewody sieradzkiego, a tego prawnuczka, Barbara z Pampowskich Górkowa Roszkowska, kasztelanowa przemęska, odziedziczyła wszystkie majątności po zgonie brata. W początkach siedemnastego wieku

wygasła i ta linia hrabiów z Górki, gdy ostatnia z ich rodu, Barbara, zaślubiła Mikołaja hrabiego z Ostroroga, regimentarza i podczaszego koronnego, a cała Żerkowszczyzna przeszła w posiadanie Radomickich, z których pierwszym dziedzicem był Hieronim wojewoda inowrocławski, zmarły r. 1652. Po wnuku jego Macieju Radomickim wojewodzie poznańskim, zmarłym r. 1728, pozostała córka jedynaczka Katarzyna z Radomickich Sapieżyna, żona Jerzego Sapiehy starosty wilkowskiego i wojewody mściławskiego. W drugiej połowie osiemnastego wieku jedyna wnuczka ich, Ludwika Gorzeńska kasztelanowa kamieńska, córka Ignacego i Maryanny z książąt Sapiechów Koźmińskich starostwa wschowskich, ostatnią była dziedziczką wszystkich tych połączonych dóbr. Od niej przeszła majątność śmiełowska w r. 1784 w posiadanie Andrzeja z Ostroroga Gorzeńskiego, późniejszego prezesa najwyższego sądu apelacyjnego w ks. poznańskiego. Pan ten, upodobawszy sobie prześliczne położenie Śmiełowa, zbudował przy końcu zeszłego wieku wspaniały pałac, który tę ma rzadką zaletę, iż całkowicie jest dziełem krajowych artystów. Budował go zacny architekt Stanisław Zawadzki, pokoje malowali Smuglewicze, a sztukaterye robił Ceptowicz.

Pałac, zbudowany w półkole, zakreśla literę G, a wraz z bramami i okalającym dziedzińcem murem literę O, dwie początkowe głoski nazwiska swego założyciela. Sale pałacowe malowane al fresco; w sali okrągłej przedstawiono ruiny Troi, wśród których pożegnanie Hektora z Andromaką i synem, kopia z obrazu Angeliki Kaufman, obecnie w Anglii będącego. W sali jadalnej portrety rodzinne, z tych kilka doskonałego pędzla, jak Augusta hrabiego Gorzeńskiego, wojewody za księstwa warszawskiego, przez Bacciarellego, oraz Tymoteusza hrabiego Go-

rzeńskiego arcybiskupa gnieźnień. przez Stachowicza. W archiwum marmurowe popiersie wzmiankowanego wojewody Gorzeńskiego przez Canowę we Włoszech robione i różne pamiątki rodzinne. Dalej

Pałac śmiełowski otacza rozległy, uroczej piękności park, przez który przepływa rzeczka Lutynia, niedaleko ztamtąd do Warty wpadająca. Z pod kolumnady pałacowej piękny otwiera się widok na pasmo wzgórz żerkowskich. Śród nich najwyższy szczyt zwie się *Lysą Górą*. Pyszny ztąd widok na dolinę, o kilka mil wokół. Przy pogodnym dniu i Poznań i Gnieźno, o osiem mil odległe, dobrze rozróżnić można. Wszędzie czerwienieją i bielą się miasteczka i wsie, śród zieleni łąk i lasów, a całej tej pięknej okolicy dają niektórzy nazwę Szwajcaryi poznańskiej.

Świdwa.

KORESPONDENCA

Tygodnika Ilustrowanego.

Paryż, w lipcu.

Człowiek co robi książki. — „Univers.“ — Kobieta bez napaństwa. — Pisarze pobożni. — Kobieta-ideał. Trudności z ideałem. — P. Arsène Houssaye. — Siostrzana dusza wielkiego poety. — Przejście do innego przedmiotu. — Bitwa na Kossowem polu. — P. Adolf d'Avril. — Zdanie jego o poezji serbskiej. — Fenomen. — „Wila.“ — Książka Michała M. Obrenowicz III.

Znam człowieka co robi książki. „Pisze“ powieście. Pisze, i nawet pracowicie, lecz w książkach przez niego napisanych, jego własność literacką stanowią: tytuł, imię i nazwisko i łączniki. Łącznikami nazywam wstawione w tekst frazesy, następującej osnowy: Ponieważ X. pisał o tym przedmiocie, więc powtórzmy jego wyrazy. Następnie dla tegoż samego powodu powtarza wyrazy Y., Z., i innych. Bierze arkusz u tego, półtora arkusza u owego, zbiera w ten sposób arkuszy, przypuścimy, dwadzieścia i... książka gotowa. Nie jest to fałszerstwem, albowiem przyznaje się zkąd i co bierze; jest fałszerstwem, albowiem na tytułowej karcie nie wydrukował: „wypisy.“

Ten człowiek-autor, którego nazwisko figuruje

TYPY I POSTACIE LUDOWE.



PIASKARZE WARSZAWSKY. (Rysował z natury Gerson).

zbiór dokumentów rodziny Gorzeńskich, to w oryginałach, to w kopiach sądowych z archiwum grodzkiego w Poznaniu, sięgający aż do roku 1391 i udowadniający rodowód tej rodziny od Dobrogosta Ostrogora z Kolna i Gorzenia kasztelana kamieńskiego.



PALAC W ŚMIEŁOWIE. (Podług nadesłanej fotografii).

w historii literatury, przyszedł mi na myśl, kiedy korespondencyja niniejsza leżała przedemną w postaci białej ćwiartki papieru. Lecz nie ćwiartka papieru przywołała mi to wspomnienie. Obok ćwiartki leży *Univers*, dziennik znany światu z wielkiej pobożności, ubranej w kłopotliwy styl, który, mimo wstret mój do pobożności *Univers'a*, każe mi zaglądać mu niekiedy w zęby: czy niema kogo na nich? czy nie gryzie kogo? Kiedy bowiem kogo gryzie, satysfakcya jest patrzeć, z takim tę operacyą odbywa szykiem i gustem. W jednym z ostatnich numerów znalazłem u niego na zębach „Kobietę bez naparstka” — i ten to właśnie numer leży przedemną. Chciałbym tę kobietę zaprezentować czytelnikom, a raczej czytelniczkom Tygodnika Ilustrowanego. I przyszedł mi na myśl człowiek fabrykujący książki z tytułu, podpisu i łączników, a nieradabym do tego człowieka stać się podobnym. Sam nie wiem co robić. Pewien korespondent pewnego pisma żywcem bierze paryżkie kroniki w całej rozciągłości i podaje je za swoje. Czy pójść za tym antecedenssem? Nie. Pomiedzy dwoma złemi wybierając mniejsze, wolę być naśladowcą fabrykanta książek, aniżeli przywłaszczyciela kronik. A zatem: ponieważ *Univers* napisał o „kobięcie bez naparstka,” więc powtórzmy jego wyrazy.

„Kobieta wyraża się *Univers*, może być malarzem, snyczerem, nawet pisarzem. Mogą znajdować się u niej pędzle, dłuta, nawet i pióra, byle obok nich był naparstek.

„Kobieta bez naparstka, jest istotą przerażającą.

„U kobiety bez naparstka panuje bezład, nieobyczajność, a nawet swawola.

„Wchodząc do jakiego domu, szukaj naparstka kobiety; jeżeli jest on gdziekolwiek, wyjąwszy na podłogę, jeżeli jest na stole albo na kominku, bądź pewny że w tym domu wszystko znajdziesz jak należy.

„Jeżeli przeciwnie naparstek spoczywa na dnie szuflady, jeżeli go pokrywa ciemna powłoka, jeżeli ociężanie się igły nie uczyniło go błyszczącym, — kobieta jest światową, trudniącą się wizytami i plotkami.

„Istnieje następnie kobieta u której naparstek jest nie do znalezienia. U tej igły zastępują szpilki. Ta kobieta jest bez naparstka. U niej szwaczka wydaje wyroki, a modystka prawa.

„Kobieta bez naparstka jada śniadanie w łóżku, czytuje dzienniczki i wstaje o południu.

„Nosi suknie zadługie lub zakrótkie. Ona to wynajduje wyzywająco zuchwałe węzły do podnoszenia spódnicy. Ona to jest powodem bogacenia się handlarzy kosmetyków i gubienia się biednych dziewcząt co w jej ślady idą.

„Kobieta bez naparstka mieszka na wszystkich piętrach, na mansardzie i antresoli. Zamieszkuje w hotelu lub we własnym domu, a niekiedy posiada pałac. Można się z nią spotkać i na ulicy... Wszędzie jest ona taką samą, wszędzie odróżnia ją ciemnota. Kobieta bez naparstka nigdy nie ma rozumu.

„Kobieta bez naparstka nic nie robi i na nic nie ma czasu. Życie jej pożeraniem jest przez nic. Dla niej noce są zakrótkie, a dnie nie istnieją. Działa, ażeby nic nie robić, mówi, ażeby nic nie powiedzieć.”

Nie umiem tłumaczyć, więc musiałem ująć wiele wdzięku, a zwłaszcza jedności stylu temu rzucenemu od niechcenia na papier szkieciowi, dowodzącemu że pisarze pobożni niekoniecznie noszą oczy wciąż w ziemię wlepione lub w niebo wznesione. Pokazuje się, iż umieją rzucać niemi w prawo i w lewo i schwytać na gorącym uczynku istotę, którą profani pomawiają o anielizm, a oni o szatanizm. Żaden z bezbożnych pisarzy nie dopatrywał znaczenia naparstka, znaczenia, które jest symbolicznem, jak paw obok Junony, albo sowa obok Minerwy. Zapewne malarze na przyszłość skorzystają z tego spostrzeżenia i nie zaniechają na obrazach, przedstawiających kobiety, obok uczciwych umieszczają naparstek, który niewiele zabiera miejsca, a wiele mówi. Jest on właściwością bardzo zwykłą, lecz dlatego właśnie dopiero teraz, w roku 7376 ery bizantyjskiej wynalezioną, i to w epoce, w której wynalazek maszynki do szycia czyni naparstek niepotrzebnym. Kto wie czy nie stanie się on wkrótce rzadkością archeologiczną. Śnadź p. Veuillot zapomniał o maszynkach. A owa rzadkość archeolo-

giczna przejdzie może, jako podanie, do następnych pokoleń, ubierze się w szaty legendy i posłuży do tego, że naparstek przez naszych pra pra... wnuków uważanym będzie, jak przez starożytnych uważaną była koncha morska, jako godło idealnej kobiety.

Ach!... dobrze, że mi się to pod pióro nawinęło: idealna kobieta!... ideał-kobieta!... kobieta-ideał!... Nie wiem czy czytelnicy o tém wiedzą, ale pisarze, którzy niekiedy bywają czytelnikami, uwiadomionymi w ostatnich czasach zostali, że się otworzył popyt na ideał kobiety. Zawiadomienie to czytałem we wszystkich, które mi są zrozumiałemi, nowożytnych językach. Z tego wnoszę, że i w innych musiało być publikować. Zewsząd dopominają się o ideał kobiety, — wydawcy i nakładcy wyraźnie, krytycy ubocznie. Temu, coby ideał stworzył, wróżą sławę wiekopomną, z dodatkiem, bez którego sława w XIX stuleciu nie ma zwyczaju się obchodzić, chyba że przyjdzie jej kaprys wybrać sobie za ulubienca jakiego dziwaka, co na pieniądze nie patrzy. Wróżą więc sławę i dodatki autorowi ideału-kobiety i powiadają, że wszystkie dotychczas ideały są złe, niepełne, niedostateczne, że trzeba czegoś nowego, świeżego, doskonałego, świetnego. Każdy prawie z najnowszych pisarzy, co się bierze do kręślenia dramatu, ba i poematu, myśli o tém zawiadomieniu i radby ideał wykrzesać. Ani weź!... Ztąd po powieściach, dramatach, poematach pełno kreacyj chybionych, kobiet nieproporcjonalnie narysowanych, obdarzonych albo zbyt wielkim sercem, albo zbyt dużą głową, albo też jakimś monstrualnym urokiem, któryby wystarczył na oczarowanie całego pokolenia, a nie dopiero jednego bohatera romansu i kilku komparsów. Popyt za ideałem zbija autorów z tropu. To też niektórzy dają za wygraną i, nie mogąc podołać przesadnym wymaganiom, puszczają się drogą realizmu, na której sami znów w przesadę wpadają.

Mnie się zdaje, że epoka nasza jest dla kobiety epoką przejściową. Kobieta przestała być tém, czém była, a nie stała się jeszcze tém, czém ma być. Wymówiono wyraz „emancypacya...” i wyraz ten, nie-dobrze zrazu zrozumiany, jednych zachwycił, drugich oburzył. Prawda pozostała pośrodku. Ta prawda, zdaje się, drogę sobie obecnie toruje, jako zagadka, domagająca się rozwiązania, które, według mego zdania nie może nastąpić inaczej, jak na drodze odpowiedniego urządzenia edukacyi kobiety. W tym względzie odbywają się doświadczenia i próby, wymagające pewnego czasu. Niecierpliwi, a niecierpliwymi są wszyscy, chcieliby ten czas przeskoczyć i mieć z góry dany ideał, któryby zadowolił wszystkie nietylko zdania, ale i gusta. To trochę trudnó. Trzeba poczekać. Za jakich lat nie wiem ile, może to będzie do uskutecznienia, jeżeli drogą stopniowego doskonalenia społecznych i towarzyskich stosunków, dojdzie się nakoniec do tego, że ustanie wyzyskiwanie płci przez płć. Ale żeby do tego przyszło... trzeba poczekać i tymczasem robić co można, popędzając zagadkę naprzód ku rozwiązaniu. Może też znajdzie się jaki genialny pisarz, co rozedrze zasłonę przyszłości i pokaże zdumionym naszym oczom kobietę taką, jaką będzie. Na to jednakże potrzeba aby pisarz był rzeczywiście genialnym, o co tak trudnó!...

Mój Boże!... któryż to pisarz nie życzyłby sobie zostać twórcą ideału kobiety!... Cóż z tego!... Nie-dosć życzyć sobie, trzeba módz; a módz trudniej jest, jak się komu wydaje.

Jednym z lepszych kopistów kobiety jest Arsène Houssaye. Można go w tym względzie uważać jako specjalistę, mającego tę wyższość nad ogółem rzemieślników pióra, że położenie jakie w towarzystwie zajmuje, pozwala mu lepić i bliżej rozpatrywać się w oryginale kobiety wielkiego świata. Podczas kiedy inni widzą ten oryginał zdaleka i zmuszeni są go odgadywać, on się go dotyka. Salony i budoary wielkiego świata stoją przed nim otworem. Tajemnice ich nie są dla niego tajemnicami. Ma sposobność badać kobietę w takich warunkach, w których ten anioł w całym blasku anielstwa wystąpić może, może dla téj prostej przyczyny, że mu nic nie przeszkadza, że nic mu na skrzydłach ołowiem nie ciąży. Kobieta wielkiego świata posiada tę ogromną

nad kobietą niżej postawioną korzyść, iż może być aniołem tanim kosztem, byle tylko zechciała. Ziemskie troski są jej nieznałe. Pan A. Houssaye studyje ją. Jego utwory, jak naprzykład „Mademoiselle Mariani,” „Mademoiselle Cléopatre,” „Le roman de la duchesse,” są owocami tych studyów, portretami, w których malarz starał się wyraźnie o upiększenie wzorów jakie miał przed oczyma. Lecz tym upiększonym portretem jakże do anielstwa daleko!... Obecnie p. Houssaye napisał romans w czterech częściach, pod tytułem: „Les grandes dames,” z których dwie „Monsieur Don Juan” i „Madame Venus” są już w rękach czytającej publiczności, a dwie drugie „Les pecheresses blondes” i „Une tragédie à Ems” znajdują się pod prasą. Są to znów portrety, na studyach salonów i budoarów oparte. Panie wielkiego świata czytają je z zajęciem, na jakie zasługują wytwornym stylem opowiedziane tajemnice pustek, zamaskowanych pysznemi ornamentami i drobiazgową etykietą. Ale w tych pustkach kobiety-ideału niema. Skrzydła heroin podobne są do skrzydeł nietoperza.

O ideały!...

Zdawałoby się że poeci powinni posiadać zdolność odgadnięcia, przecucia w kobiecie idealności. Przypadek zrządził, iż niedawno zetknąłem się z pewną wielką panią, która w młodości swojej służyła jako siostrzana dusza pewnemu wielkiemu poecie. Niedosć na tém. Pewien wielki muzyk w jej oczach czerpał natchnienie do utworów, którym równych muzyka nie posiada, i pewien wielki malarz do niej po natchnienie się udawał. Nie wymieniam nazwisk, bo musiałbym dotknąć osobistości, ale chciałbym, ażebyście mi uwierzyli na słowo, że poeta, muzyk i malarz byli rzeczywiście wielkimi. Zetknąłem się z tą panią, pełen bojaźni, skruchy, prawie nabożeństwa. Myślałem że ta co była gwiazdą przewodnią ludzi natchnionych, co wielkiemu poecie serce oddała i z nim razem szła przez świat, jak siostra z bratem, jest istotą wyższą, niepospolitą, jest duchem w ziemskich obłonach. Zawiodłem się najfatalniej. Ta kobieta była tylko piękną ciałem i umiała pozować. Dziś piękność przygasła, wielbiciele pomarli; ona więc bawi się w cklivą dobroczynność.

Nie mogę o tém więcej pisać, bo musiałbym zanadto opowiadać moje uprzeczyszczyć i wyjawić sekret. Chciałem tylko powiedzieć, że kobieta-ideał nie istnieje w naturze i przytoczyłem przykład, który mnie o tém nieistnieniu ostatecznie przekonał. Czy zaś przytoczenie tego bezimiennego przykładu kogo przekona? o tém bardzo wątpię. Więc przejdę do innego przedmiotu.

Leży przedemną świeżo z druku wyszła książeczka, o której kilka słów należy powiedzieć. Tytuł jej następujący: „Bitwa na Kossowem polu,” rapsodya serbska wyjęta ze śpiewów narodowych i przełożona na francuzkie przez *Adolfa d'Avril*, agenta i konsula generalnego Francji w Rumunii. Pan d'Avril nie jest jedyny, ani jeden z pierwszych pomiędzy Francuzami, co się zajmuje słowiańskimi rzeczami; ale jest on jednym z pracowników zamilowanych w swym przedmiocie, sumiennych i zdolnych. Poczet prac jego na tém polu, dla zachodniowca niewdzięcznym, bo rozgłosu literackiego nie dającym, jest już dość poważny. Wymienię następujące: „Bulgarya chrześcijańska, studjum historyczne; Dokumenta odnoszące się do kościoła wschodniego; Herakliusz, czyli kwestya wschodnia w VII wieku; Chaldea chrześcijańska” i t. d. Samo wymienienie tytułów okazuje, jak głęboko p. d'Avril w słowiański świat zaglądał; zagładając, nie mógł nie spotkać się z poezją, wykwitłą samorodnie w cieniu borów, a spotkawszy się z nią, nie mógł jej ominąć. Jest to los wszystkich, co przeszłość Słowian naddunajskich badają. Pochodzi to ztąd, iż charakter téj przeszłości jest przedewszystkiem poetyczny. Gdy narody te słowiańskie utraciły polityczny byt, zatrzymał się dla nich narodowy rozwój, a raczej cofnął się wstecz, ku kolébce bytu, pod opieką geniuszu narodowego, reprezentowanego przez poetyczną postać piastunki Wili. Dziejowe fakta i historyczne dokumenta zastąpiła pieśń, arka przymierza, która pod obcym panowaniem wiązywała byt przeszły z bytem przyszłym, utracony z mającym być odzyskanym. Pieśń

była dla nich rękomią przyszłości. Dla polityków i historyków, którzy w wiekach XV, XVI, XVII i XVIII działali i pisali, naród serbski nie istniał. W owych bo wiekach nic innego nie tworzył, nic z siebie nie wydawał, tylko pieśń, którą nucił dla samego siebie i w końcu wysnuł z niej dziejowe fakta i dokumenta dla polityków i historyków wieku XIX. Kto przeto bada jego przeszłość, nie może pieśni ominąć. „Poezya, powiada p. d'Avril, przekształciła historię, idealizując tę ostatnią“ — stała się sama historycznym dokumentem. Dlatego to zapewne p. d'Avril wybrał najpryncypalniejszy z rapsodów i przełożył go na francuzki język.

O samém tłumaczeniu to tylko mogę powiedzieć, że wykonane jest w taki sposób, to jest z taką wiernością i tak wytwornym językiem, iż niezawodnie zwerbuje pomiędzy Francuzami nowych ochotników do zajmowania się serbską poezją. Pod tym względem p. d'Avril wyprzedził swoich poprzedników, jak np. p. Dozon, który przed kilku laty wydał „Poésies populaires serbes.“ Lecz nie będę się nawet porównaniem zajmował, ale raczej podniosę parę zdań tłumacza, które wypowiedział we wstępie, a które zapewne nieobojętne będą dla czytelników interesujących się słowiańską poezją.

Powszechnie pieśni serbskie przyrównywane bywają przez krytyków do utworów greckich homerycznej epoki i do niemieckich Niebelungów. Pan d'Avril odmiennego jest zdania. „Klęska kossowska, pisze on we wstępie, przeraziła głęboko wyobraźnię Serbów; stała się ona głównym żywiołem ich poezji ludowej. Jak zawsze, poezya tu przekształciła historię, idealizując tę ostatnią. Osobistości rzeczywiste lub fikcyjne, występujące w legendzie, przybrały proporcey epiczne. Lazar przedstawia tam świetność królewską. Dźwignię jego jest wyegzaltowane poczucie obowiązku, poddanie się Bogu, poświęcenie. Pod tym względem przypomina on raczej bohaterów indyjskich, francuzkich, hiszpańskich, aniżeli greckich lub germańskich.“

Drugą rzeczą, zasługującą na wzmiankę, jest podniesienie przez tłumacza pewnego fenomenu, zależącego na tém, że poezya serbska poszła odmienną drogą, aniżeli poezya innych narodów. Podczas kiedy gdzieindziej właściwa literatura zabija literaturę ludową, u Serbów stało się inaczej. W rzeczypospolitej raguzańskiej kwitły poezya, nauki, wytworzyła się literatura klasyczna i obok niej, w Serbii, istniała i kwitła poezya ludowa. Mnie się zdaje że fenomen ten nie zadziwiłby szanownego tłumacza, gdyby się był zastanowił nad stosunkiem jaki zachodził pomiędzy Serbią a rzeczpospolitą raguzańską, stosunkiem, który się wyraził w ten sposób, iż od bitwy na Kossowem polu jedna o drugiej nie wiedziały. Proszę wyrażenia „nie“ nie brać w ścisłym, ale w literackim znaczeniu. Cóż więc dziwnego, że sobie nie przeszkadzały w poetyckim rozwoju? Jedna rozwijała się, że tak powiem, w głąb, druga nazewnętrz, czyniąc zadość dwóm odmiennym całkiem względem miejscowym: pierwsza potrzebowała świadczyć o byciu swoim przed sumieniem narodowym, ażeby się krzepić i nie upaść moralnie, jak upadła fizycznie; druga byt posiadała, a więc potrzebowała iść na równi z postępem, który się manifestował w ludzkości. W tej więc ostatniej pieśń ludowa milczała, a natomiast odzywały się bardony Gunduliczów, nastrojone do wotum lutni poetów łacińskich i włoskich. W Serbii zaś, w ciszy leśnej, w wąwozach gór, przy ogniskach pasterzy, nie wiedząc o bardonach raguzańskich, brzmiała gęśl nieuczona i wybrzmiała pieśni, przed którymi czołem uderzyć muszą klasyczne utwory Maruliczów, Hektorowiczów, Czubranowiczów, Gunduliczów i t. d.

Rapsody o Lazarze i Marku królewiczu zagrzewały wojowników serbskich podczas krajowej kocziny i powstań, które się rozpoczęły w roku 1804. Wodzowie ich, Jerzy Czarny i Miłosz Obrenowicz, lubili słuchać gęslarzy, opowiadających dawne dzieje, jakby się one stały wczoraj, a niektórzy z nich, jak np. Hajduk Welko, sami pieśni układali.

Przyznam się że szczerze mnie to cieszy, iż Francuzi, będący z powodu uniwersalności swego języka propagatorami wiedzy *par excellence*, zabierają bliższą i coraz to bliższą z pieśniami serbskimi znajomość. Powinnoby to wyjść na dobre literaturze serbskiej.

Im więcej będą o niej wiedzieli ludzie, tém więcej będzie ona sama o sobie wiedziała.

*A ponieważ o literaturze serbskiej mowa, więc pozwolę sobie trzymać się jej do końca już korespondencyi niniejszej, odkładając do następnej przedmioty miejscowe, o których zamierzałem pisać. Byłbym, pomimo szczupłości pozostającego miejsca, ten zamiar wykonał, gdyby przed chwilą listonosz nie przyniósł mi ostatniego numeru „Wili“, wychodzącego co dni dziesięć w Belgradzie czasopisma, poświęconego rozrywkom, literaturze i nauce. Na pierwszej stronie tego numeru znajduje się wiersz p. t. „Pamięci serbskiego kniazia Michała M. Obrenowicza III,“ napisany przez J. Sundeczicza. Po tym wierszu idzie artykuł prozą p. t. „Kniaź Michał M. Obrenowicz III, urodz. 4 września 1823, nieszczęśliwie zginął 29 maja 1868.“ W tym artykule autor, którym zapewne jest sam redaktor Wili, p. Stojan Nowakowicz, wykazuje zasługi nieboszczyka na polu serbskiego piśmiennictwa. Dowiadujemy się z niego, że księcia Michała żywo interesował literacki rozwój Serbii i że w tym rozwoju brał udział podwójny: jako pracownik i jako mecenas. W młodości swojej układał pieśni, z których jedną „Czego walczyć myśli moje“ (*Sto se bore misli moje*) spopularyzował niedawno zmarły serbski kompozytor, Kornel Stankowicz; następnie, w odpowiedzi panu Cypryanowi Robert, napisał po francuzku książkę p. t. „Miłosz Obrenowicz, czyli rzut oka na historię Serbii od 1813 do 1839 r.“ Dziełko to cenionem jest jako wyraz patriotycznych uczuć. Druga z „Serbskich narodowych przypowieści“ wydanych w Wiedniu 1853 r. przez Wuka Stefanowicza Karadzicza, jest pióra księcia Michała. Przytém wspierał uczonych i literatów, bądź ciepłą ręką, bądź przyczyniając się do wydawania ich dzieł. Tego rodzaju pomocy doznawali od niego: Wuk Stefanowicz Karadzicz, Džuro Daniczic i Franciszek Mikloszic, a także poeci Branko i Ludewit Sztur. Tego ostatniego zasłaniał przed prześladowaniami austriackiego rządu. Zamierzał wydać pozostające w Karłowicach rękopisy po ostatnim serbskim despoce Brankowiczu i na ten cel przeznaczył 10,000 zlr., lecz zamiar ten nie przyszedł do skutku. Księciu Michałowi należy się sława założenia „Towarzystwa serbskiej literatury“, nazywającego się obecnie „Serbskiém naukowym towarzystwem.“ Książę Michał pierwszy pomyślał o potrzebie założenia w Belgradzie narodowego teatru i byłby tę myśl wykonał, gdyby nie zaskoczyła go śmierć przedwczesna.

ROZMAITOŚCI.

W Nr. 21 seryi II Tygodnika, p. Padalica zamieścił oryginalną z zeszłego wieku umowę z malarzem, dającą wyobrażenie o poglądzie ówczesnym na artystów i sztukę. Z materiałów w posiadaniu mojem znajdujących się, przytaczam poniżej dwa zabytki niemniej ciekawe, mogące służyć za dopełnienie tamtego. Pierwszy z nich, z r. 1774, jest kontraktem z „metrem“ do dzieci, drugi, z r. 1791, podobną do tamtej umową z malarzem.

Kontrakt dla jn. pana metra.

Dnia 15 maja roku Pańskiego 1774 daje kontrakt jmei panu Janowi de Maltzan w ten niżej opisany sposób. Pomieniony pan de Maltzan podejmuje się edukacyi dzieci j. w. jmei pana.... podkomorzego brzeskiego kujawskiego, takim sposobem: to jest najprzód ku chwale Pana Boga, według wiary świętej katolickiej, a potem czytania, pisania polskiego, łacińskiego, niemieckiego, języków, rachunków różnych, grania na instrumencie szpinetu albo klawicymbału, a to wszystko z fundamentu wysokich muzyk, tak doskonale, aby mogły w czasie niedługiego przeciągu pokazać swoją doskonałość znajdującym się na tém osobom. Ile że te dzieci już były w edukacyi różnych języków, zaczęły dlatego się przyjmując te różniejszego kontraktującego, aby doskonalsze poztyki odebrały w wszelkiej edukacyi języków, osobliwie tych, w których sam jest doskonały. A że starsza jéjmość panna podkomorzanka większą nad inne powzięła języka francuzkiego umiejętność, więc daje się ta ostrożność jmei panu metrowi, aby i z tego języka bardzo potrzebnego, tak w pisaniu jako i w mó-

wieniu a książek czytaniu, nie była zaniedbana, i owszem rodzeństwo swoje do podobnej przy dozorze pana metra pociągała edukacyi i umiejętności. Ostrzega się pana metra, aby téż dzieci j. w. podkomorzego miały wszelkie od niego poszanowanie, dozór, bronienie swawoli, przestawania z podłymi ludźmi, nieprzyzwoitych zabaw, lekkiej kompanii, aby żadnych nie czynił ambarasów podłych, z których mogłyby wynikać jakie dla młodzieży zgorzenia. Punktualność w naukach powinien zachować takowym sposobem: od godziny siódmej z rana do ósmej; o ósmej godzinie na mszę świętą do kościoła, z kościoła na śniadanie; od godziny dziewiątej do dwóch kwadranse na dwunastą, mają być odnowione nauki szkolne i obiady. Po obiedzie mają zaczynać swoje nauki od godziny drugiej do godziny szóstej wieczornej. Usłużenie dla paniąt powinien mieć w swojej atencji, aby ten czynił swoje powinności, któremu się zaleca. Po takiej umowie i wedle niej zakontraktowaniu, zaleca się trzeźwość i wierność i zadość temu wszystkiemu czynienie, z przychylną aplikacyą. A zato postępuje się jn. metrowi stoł wraz z paniętami, tak obiadu, jako i kolacyi, śniadań i podwieczorków; do stołu według apetytu picia, apart zaś stołu dwie alby (1) piwa. Salarium rocznego trzydzieści pięć czerwonych złotych, które na cztery części podzieliwszy, co kwartał obligują się wypłacać po tyńfów sto trzydzieści jeden i groszy polskich dziewięć, złotem lub monetą. Ten kontrakt od wżwyż wyrażonej daty, jako się zaczyna, tak na podobny czas od roku do roku kończyć się powinien; co wszystko w punktualności deklaruję dotrzymać i na to się podpisuję. Wzajemnie pan metr niezawodnie w tych wszystkich punktach i klauzulach tego kontraktu przyrzeka uczciwym i rzetelnym się stawić i na to się podpisuje. Działo się i t. d. Następują podpisy.

P. S. Potrzeby szkolne dla dzieci i pana metra mają być starzone, jako to: świece, inkaust, papier, książki i chłopiec do usługi zawsze przytomny.

Uгода z malarzem.

Majster malarz Johan Weber, po wypłaceniu zupełnym od roboty w pokojach we dworze ludzickim (2), ugadza się od roboty św. Jana Nepomucena około obrazu, to jest oddany mu jest obraz św. Jana Nepomucena, który ma nadstawić podług miejsca w ołtarzu, a na tém nadstawieniu ma wymalować żołnierzy zrzucających z mostu w rzekę Mołdawę tegoż św. Jana, wyraźnie i proporcjonalnie. Ramy około obrazu środkiem wysrébrzyć, a brzegi wyłocic fein Gutem; od której to roboty dobrze zrobionej i gładko, mieć będzie zł. pol. czternaście, którą to ugodę obie strony dotrzymać obowiązują się i na co się własnymi podpisują rękami. Działo się w Ludzicku, dnia 30 octobra 1791 r. Podpisali... kasztelan kowalski i Johan Weber; ten ostatni charakterem wcale nie kaligraficznym.

Umowa powyższa brzmi zupełnie zgodnie ze wspomnianą na początku p. Padalicy; świadectwa zatem z dwóch przeciwnych stron stwierdzają, że często zdarzały się podobne czy przeniewierzenia się sztuce, czy téż zbyt śmiałe wdzięcia się na jéj wyżyny. Nie wiemy istotnie jak to nazwać, bo zachodzi pytanie, czy malarze-artyści, dla braku zatrudnienia, podejmowali się malowania pokojów i złoczenia ram, czy téż, z wyjątkiem kilku pierwszorzędnych talentów, sztuka nie miała wtedy innych przedstawicieli, jak malarzy pokojowych.

Józef Bliziński.

Jowisz i Minos.

(Bajka).

Do Minosa Jowisz rzecze:

Ty, co sądzisz plemię człecze,

Powiedz, z kąd w niem się tak mnożą zbrodniarze,
Że się brak miejsca w piekle wnet pokaże

I jaka zdrożność taki wpływ ma na nie?

Minos odrzekł: Próznowanie.

F. M.

(1) Półgarncówki.

(2) Ludzicko v. Ludzisko, wieś w powiecie inowrocławskim, pomiędzy Strzelnem a Inowrocławiem, była naówczas własnością Ant. B., kasztelana kowalskiego.

STRACH MA WIELKIE OCZY,

opowiadanie z prawdziwego zdarzenia.

Skręślił

Wacław Poncet-de-Sandon.

(Dokończenie.)

— Nie, rzekłem, jeszcze nie wszystko; potrzebuję wytłumaczenia wielu słów i okoliczności, które ciągle zbijały mnie z tropu i naprowadzały na niezbyt pocieszające myśli o bezpieczeństwie tego ustronia i łagodności jego mieszkańców. A mianowicie: mnóstwo oręża, zupełnie na łowach nieużytecznego; morderstwo, zapewne myśliwskie, p. Czamary; wyrażenie Grzegorza o zagrabionej u jakiegoś szambelana wódce; jego rozkaz o wartownikach, w czasie kiedy tyle znajduje się tu osób; jego wiadomości jubilerskie, a najwięcej pewność, że moje konie tu pozostaną; nareszcie prawdziwie tandetowa obfitość bielizny i szlafroków.

— Ta obfitość, rzekł hrabia, jest rzeczą bardzo prostą. Każdy tu z nas ma zapas bielizny i odzienia. Szlafrok i ciżemki, z którymi pan tak nielitościwie obszedłeś się w czasie swojej ucieczki, były moje, koszula zaś pana marszałka. Co zaś się tyczy broni, to całą prawie piękną i rzadką moją zbrojownię, odziedziczoną po przodkach, przenieśliśmy tutaj, dla ubrania moich myśliwskich pokojów. Wódka w samej rzeczy jest sekretnie wykradziona u szambelana, z powodu jakiegoś zakładu. Przyczyną naznaczenia wartowników była kradzież, popełniona przez kogoś z domowych w składach naszej zwierzyny. Jubilerskie wiadomości Grzegorza także łatwo dają się wytłumaczyć. Od dzieciństwa służył za kamerdynera przy wielkich paniczach, chodził więc często około brylantów i drogich kamieni. Nieraz nawet, w chwilach krytycznych, był używany do zastawiania i przedawania ich, czego położenie towarzyskie, nazwisko i stan nie dozwalały uczynić samym właścicielem. Z morderstwem pana Czamary rzecz się ma tak: kazałem hodować w tej pustelni młodego wilczka, który od niejakiego czasu zaczął płatać rozmaite figle. Dzisiaj, wracając z polowania, dowiedziałem się, że zadusił oswojonego cietrzewia; wydałem więc rozkaz, aby go zaszczwano. Po obiedzie w naszej nieobecności zaczęła się ta oblawa na nieszcze-



PUHAR SREBRNY, stanowiący pierwszą nagrodę na turnieju szachistów warszawskich w r. b., wykonany w zakładzie złotniczym p. Wernera w Warszawie, podług rysunku W. Gersona.

chętnie, bo winieś nam wynagrodzenie za to, że swoją ucieczką nas i naszych ludzi wybiłeś ze snu. Mój chronometr powiada, że mamy już trzecią godzinę, a on się nigdy nie myli, pochodzi bowiem z Londynu i jest punktualny jak Anglik. Zepsułeś nam pan dzisiaj obławę, bo niewyspany myśliwy na nic się nie zda.

— Najchętniej, moi panowie, zgadzam się na proponowany handel. Konie możecie już uważać za swoje...

— Dziękujemy! dziękujemy! zawołali wszyscy, a Grzegorz stuknął korkiem o sufit i zaczął napełniać kielichy szampanem.

— Powtarzam panowie, że konie wasze, ale musicie się zgodzić koniecznie na jeden warunek.

— Na jaki? zapytał hrabia; piszemy się z góry na wszystko.

— Warunek niemożliwy prawie do spełnienia kobietom, a bardzo trudny do wykonania i mężczyznom: mianowicie... bezwarunkowe milczenie co do mojej dzisiejszej fatalno-komicznej ucieczki.

— A to dlaczego? zapytał dotychczas milczący kapitan T., legionista, waleczny z walecznych, jak się dowiedziałem później. Był to człowiek rzadkiej skromności, która zawsze idzie w parze z prawdziwą odwagą.

— Dlaczego? zawołałem, poprostu żeby nie nazwano mnie tchórzem, jak to dziś już zrobił poczciwy Grzegorz, i żeby nie śmiało się później zemnie.

— Mógł to uczynić Grześ, ale nie uczynił żaden prawdziwie odważny człowiek, odpowiedział kapitan. Nie jestem tchórzem, jak o tym wiedzą ludzie, a gdyby mnie istotnie groziło takie niebezpieczeństwo, jakieś pan sobie wyobraził, tobym pewno uciekał, a pono uciekaliby i odważniejsi odemnie. Ucieczka pańska nie pochodziła bynajmniej z braku serca i odwagi, ale z gry zbyt żywej i wrażliwej wyobraźni pańskiej. Na tak szczególniejszy ład nastroiły ją: najprzód opowiadanie faktora o puszczy; później spotkanie w Wygodzie, ciekawość i odrażliwa figura rudobrodego Chaima, a najwięcej ponure szumy i cienie odwiecznej, nigdy nie widzianej przez pana puszczy. Dołączyły się do tego: wykręcenie naboju i powieść pańskiego wachmistrza o herszcie opryszków; nareszcie odkrycie w puszczy schronienia, którego przeznaczenia odgadnąć nie mogłeś. Tak rozigrana wyobraźnia na wszystko rzucała ja-

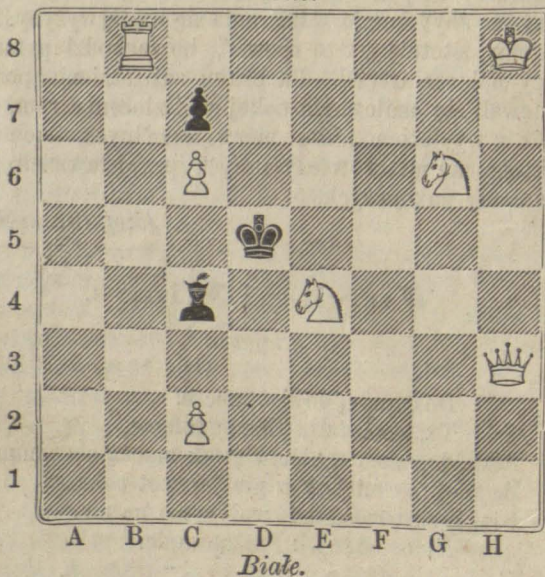
(Ob. dodatek.)

Szachy.

ZADANIE XXII.

Białe zaczynają i dają mata za 2-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 21.

Białe.

Czarne.

- 1) B2—C2 1) C3—C2 biorą.
- 2) E2—E3 + i mat.

śliwego łupieżcę. Lecz ponieważ wilczek bronił się zanadto dzielnie i kalęczył bardzo psy, Czamara przebił go jednym pchnięciem kordelasa. Nareszcie, co się tyczy koni, to będzie podobno najtrudniej mi się wytłumaczyć, bo to znowu rzecz niezmiernie delikatna i drażliwa. Panie Józefie, dodaj proszącym głosem, czy nie zechcesz jeszcze raz zastąpić mego miejsca?

— Z najmilszą ochotą, mój hrabio. Wiecznie masz jakieś skrupuły; warto żebyś we wszystkich drażliwych interesach miał mnie zawsze w kieszeni, bo u mnie prosto i otwarcie. Owóż panie poruczniku, jak tylko Grześ, dobry znawca, nam doniósł, że konie pańskie do rzadkiej należą rasy, o której słyszeliśmy wiele dobrego i do której hrabia i marszałek dawno się pał, postanowiliśmy nie wypuszczać pana, póki nie wycyganimy u niego trójki, chociażby we dwójnasób miała nas kosztować. A chociaż do powzięcia takiego zamiaru bardzo się przyłożył wielkie nic dobrego stary węgryz, jednak i w tej chwili oświadczam panu, że kładziemy embargo na jego rumaki. Chcesz czy niechcesz, a musisz wejść w targi. Dopłatę weźmiesz jaka się tylko podoba i jaką sam naznaczysz. Zresztą obowiązanyś zrobić to

- 1) D4—E3.
- 2) D6—C5 + i mat.
- 1) D4 C4.
- 2) B3—B4 + i mat.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 28. Artysty chęciwi sławy gonią za nią, a pozyskują ją dopiero za grobem.

(Dodatek.)

kieś podejrzliwe cienie i światła, rysowała rzeczywistość w zupełnie odwrotnych konturach i kształtach. Do jakiego stopnia w całym tym zdarzeniu miała udział fałszywie nastrojona wyobraźnia pańska, najlepszym dowodem Grzes. Jest to człowiek rzadkiej poczciwości i dobroci serca. Gotów płakać nad zarzniętą kurą, a ubogiemu oddać ostatni surdut, co wszystko żywo maluje się na jego fizygnomii. A przecież ta jego poczciwa fizygnomia wydała się panu dziką i zbójcką.

Mimowolnie spojrziałem na Grzesia, który właśnie podawał mi kielich szampana. W samej rzeczy w grubych i mięsistych rysach jego jaśniała taka dobroduszość, szczerłość, otwartość i serdeczność, że nie trzeba było być Lavaterem, aby odgadnąć że w tym olbrzymie było dobre, potulne i najzaczniejsze serce.

— Panowie! zawołałem, jeszcze jeden warunek! Spełnijmy zdrowie Grzesia, któremu dziś narobiłem tyle kłopotów i przykrości.

— A zatem, niech żyje Grzes! krzyknął hrabia, sam nalévając i podając mu kielich.

Po spełnieniu zdrowiu i podziękowaniach uradowanego Grzesia, zwróciłem się znowa do walecznego legionisty.

— Panie kapitanie! rzekłem, mnie się zdaje, że w tym razie nietylko winna wyobraźnia, jak podsłuchiwanie.

— Ba! odpowiedział kapitan, albożbyś pan podsłuchiwał, gdyby wyobraźnia pańska nie była tak nastrojona?

— Prawdę mówisz, zawołał hrabia. A teraz jeszcze po kielichu do poduszki i ruszajmy spać panowie!

Rozeszliśmy się więc.

Twarz moja była tak podrapana, że nie chciałem pokazywać się mojej lubej, póki się nie wygoi zupełnie. Dlatego blisko z tydzień przesiedziałem w pustelni, w tym miłym i światłym towarzystwie, którego zresztą spokojność przerywały czasem swary p. Józefa S. z baronem K. Do miasta T. zaś przyjechałem już rumakami arabsko-polskiej rasy.

Pułkownik skończył.

— Dziękujemy!!! zawołaliśmy kolejno ściskając jego rękę.

— Mnie się zdaje, odezwał się bład literat w okularach, że względem powodów pańskiego przypadku wszyscy się zgodzą z odważnym legionistą. Główną podstawą, początkiem i końcem wszystkiego, była pańska wyobraźnia. Bo skoro ta kapryśna i fantastyka pani rozigra się na dobre, dziwne bałamuctwa tworzy i szczególniejsze figle nam płata. Niema więc o tym co mówić. Jedna tylko dość tajemnicza, a niepośledniej wagi sprężyna, w całym tym zdarzeniu pozostała nam ciemną, mianowicie: wykreślenie nabołów. Jako amator powieści z epilogami, chciałbym mieć klucz od tej zagadki.

— A, dobrze żeś pan przypomniał, rzekł pułkownik, zapomniałem powiedzieć, że we dwa miesiące później odkryłem i tę tajemnicę. Okazało się że ten figiel wypłatał mi Paweł. Chcąc koniecznie przed drogą nabici swój karabinek, a nie znalazłszy prochu i nie śmiać dla swego widzimisię mnie budzić, trochę przytępiony podchmielony, wykreślił naboje z dwururki i wpakował je do swego karabina.

— No a teraz na zakończenie, zawołał gospodarz, wytniemy i my szampana!

— Zaczekaj, mój drogi! rzekł pułkownik, długie opowiadanie jest pewnego rodzaju wzruszeniem. Ja mówiąc, a panowie słuchając, zgłodnieliśmy; przystąpimy więc najprzód do twoich obfitych stołów, a później będziemy wnosić toasty. Wszak zgoda panowie?

— Brawo, do stołów! Pan pułkownik odgadł myśl naszą! zawołał pleczysty medyk.

— Chwilkę panowie cierpliwości, powiedział powstając pułkownik. Chcę zrobić panom jedną propozycję: ja śmiało i otwarcie opowiedziałem historię mojego tchórzostwa, wymagam więc, aby którykolwiek z panów, po zakąsce i wiwatach, odplacił się wzajemnością i wypowiedział się z jakiego wielkiego głupstwa, które popełnił w życiu swoim. Każdy prawie z nas ma na sumieniu niejedną taki

grzech pierworodny, ale ja wymagam, aby głupstwo było potężne, kapitalne, jak moje tchórzostwo.

Wszyscy prawie zamilkli na tę propozycję.

— No cóż panowie? zapytał pułkownik, podobno my starzy mamy więcej otwartości, jak młodzież teraźniejsza.

— Nie myśl tak, pułkowniku. Jeżeli chcesz tego koniecznie, niech i tak będzie. Otwartość za otwartość, powiedział po chwili wahania się kandydat. O takim olbrzymim głupstwie zdaje się że ja będę mógł powiedzieć.

— Brawo! zawołali akademicy.

— No, po zakąsce i wiwatach, znajdziesz pan w nas najwyrozumialszych a ciekawych słuchaczy, rzekł pułkownik. A teraz do roboty, panowie!

Lecz zaledwo okrażono stoły, do pokoju wszedł lokaj w piaskowej liberyi, suto złotym galonem szamerowanej i zapytawszy o kapitana, podał mu listek w różowej kopercie. Kapitan śpiesznie rozpieczętował go i wydobyl z koperty zielony arkusik, ozdobiony wyciskaną girlandą, na którym kilka wierszy było napisanych.

— Oho! zawołał gospodarz, koperta różowa, liścik zielony z girlandą, zdaje się z niezabudek, zapewne billet-doux. Szczęśliwy z ciebie człowiek, kochany kapitanie! Nietylko zwyciężkie laury, ale i słodkie mirty wieńczą waleczne twoje czoło?

Kapitan pokręcił dumnie swego długiego i pięknego wąsa i uśmiechnął się zwycięsko.

— Przepraszam cię, szanowny amfitryonie, rzekł ściskając za rękę pana W., a również i całe prześwietne grono, że muszę je natychmiast opuścić. Ważny, niecierpiący zwłoki interes, wzywa mnie zupełnie gdzieindziej.

— Ależ zakąś kapitanie i poczekaj chwilę, zaraz podadzą szampana, wołał gospodarz za odchodzącym.

— Nietylko szampanem, rzekł Jan uśmiechając się figlarnie, ale prawdziwym olimpijskim nektarem nie zatrzymasz go, mój drogi.

Kapitana tymczasem nie było już w pokoju. My pozostali przypuściliśmy do stołu szturm rzeczywisty. Salaterki, półmiski i kosze opróżniały się w mgnieniu oka, aż w końcu przystąpiliśmy do szampana i toastów.

Pierwszy spełniliśmy za zdrowie naszego gospodarza, drugi za zdrowie pułkownika. Za każdym sypały się najoryginalniejsze koncepta i już byliśmy w trakcie piątego czy szóstego kielicha, kiedy z trzaskiem otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł kapitan, bład, rozczochrany, bez szabli, płaszcz i łańcuszka od zegarka.

— Panowie, zawołał zadyszczanym i przerywanym głosem. Jestem okradziony... ograbiony... i zgubiony nazawsze! Zabrano mi płaszcz, zegarek i kieskę!... Ale to wszystko dziecinstwo!... Najokropniejsze to, że skradziono mi pugilares z 10000 złotych, wydanych mi ze skarbu na zakupienie sukna!... Zginąłem bez ratunku!...

Nieszczęśliwy kapitan, przed chwilą jeszcze tak wesoły, tak zadowolony z siebie, to łamał rękę, to chwytął się za głowę. Młodzież, jak zwykle młodzież, zawsze czuła na cudze nieszczęście, otoczyła go z prawdziwym i serdecznym współczuciem i cieszyła jak mogła.

— No, stało się, rzekł obojętnie W., niema czego rozpacz. Rozpacz tu nic nie pomoże.

— Dobrze to panu mówić, co masz miliony, zawołał kapitan z żalem i gorzkim uśmiechem. Lecz co ja pocznę? ja człowiek bez żadnego funduszu? zkad wezmę, z czego powrócę tak ogromną dla mnie sumę. Oddadzą mnie pod sąd, a mam jeszcze matkę, którą utrzymywać muszę!...

— No, nie dopuścimy tego! rzekł W.; pieniądze skarbowe, jeżeli się nie znajdują, to my je znajdziemy.

— Panie W., zawołał kapitan, chwytając go za rękę, chyba pan wyciągniesz mnie z tej przepaści... Ratuj, na miłość Boga!

— Niema co o tym mówić, jakoś wykreśmimy się z biedy, odpowiedział W. Ale powiedz mi kapitanie, dlaczego, mając przy boku szablę, nie broniłeś się i dałeś się nietylko okraść, lecz i rozbroić nawet?

— Pan — wtrącił półkownik ironicznie, — co bezbronny zbież z nóg uzbrojonego górala, co dowodziłeś że odwaga zastąpi najlepsze uzbrojenie, nie

mogłeś, mając szablę, oprzeć się nędzemu miejskiemu rzezimieszkowi? To jednakże rzecz dziwna.

— Gdyby to ten rzezimieszek był jeden, zawołał kapitan, ale napadło na mnie z tyłu czterech olbrzymów z nożami i pistoletami, chwycili mnie za ręce, rozbroili, obdarli i jeszcze zapowiedzieli, że jeżeli przez pięć minut, nim oni się skryją, ja się poruszę, to jeden z ich kolegów, zaczajony gdzieś w kryjówece, wystrzelał na miejscu mnie położy.

— No, przeciw nieprzyjacielowi napadającemu z tyłu i z siłą przeważną trudno bardzo co poradzić, moi panowie, odezwał się pleczysty medyk.

— Panie kapitanie, rzekł W., abyś się nie martwił długo, wróć panu natychmiast i pieniądze i wszystko co straciłeś, ale pod jednym warunkiem: żeby się to wszystko skończyło cicho i między nami, żebyś nie poszukiwał tych co cię ograbili, a nawet po chrześcijańsku im przebaczył z całego serca.

— A to dlaczego? zapytał zdziwiony kapitan.

— Wiész żeś trochę dziwak i ekscentryk, przytém nie lubię gawęd i plotek, a nareszcie może mam w tym i moje, tylko mnie wiadome, przyczyny. Więc daj mi rękę na znak zgody i słowa honoru, a panowie wszyscy tu obecni bądźcie świadkami.

Kapitan, ucieszony że odzyska stratę, podał nie wahając się rękę panu W., który natychmiast wszedł do drugiego pokoju i w chwilę powrócił, niosąc coś w rękę.

— Oto kapitanie, rzekł, pieniądze, zegarek i sakiewka, płaszcz zaś i szablę powróci panu zaraz mój służący.

I sążnisty kamerdyner ukazał się na progu, niosąc wspomniane rzeczy w rękę.

— Ależ to wszystko moje, zawołał kapitan, niezmiernie zdumiony, Aha! rozumiem!... dodał czerwieniąc się jak burak i wkładając płaszcz. Panie W..., odpowiesz mi za podobne żarciki. A ty hultaju, rzekł zapierzony, obracając się do służącego i grożąc mu ściśnioną pięścią, poczekaj!...

I zabięrał się do wyjścia.

— Dokąd to? — powiedział pułkownik, bez ceremonii odbierając mu pałasz i ściągając płaszcz. A słowo honoru oficerskie, dane i stwierdzone przy wszystkich? verbum nobile? Co się zaś tyczy odpowiedzialności, to ja będę panu odpowiadał, a nie nasz poczciwy W., gdyż ja wymyśliłem ten żarcik i nastawałem na jego wykonanie, mimo wstępu i wyraźnej niechęci naszego gościnnego gospodarza. Zniecierpliwieł mnie swojemi przechwałkami, chciałem więc dowieść panu czynem, że „strach ma wielkie oczy“, że wyraz tchórzostwo znajdzie się i w pańskim słowniku, kiedy znalazł się w moim i u daleko odemnie odważniejszych ludzi. List zaś od lubej napisał pański zwyczajny, przyboczny sekretarz do korespondencyi, a wielki zdrajca i szafaput — pan Jan. Bo i on miał z panem rozrachunek za tytuł tchórze tak uroczyście mu nadany; i on, jako poeta, nie mógł puścić tego płazem, gdyż, jak wiadomo, poeci to genus irritabile. Otóż i rzecz cała. Chcesz koniecznie strzelać się, to i dobrze, ja zawsze na to, jak na lato; ale możemy to zrobić i jutro, pozajutrze, za tydzień, lub kiedy zechcesz, zawsze mu będę służył z największą przyjemnością. Dzisiejszą noc musisz przepędzić razem z nami. Panowie akademicy, biorę w arezt kapitana i straż nad nim wam poruczam; pilnujcie go dobrze, aby czasem nie uciekł.

— Kapitanie, zawołał wesoło Jan, wet za wet, a darmo nie! Lecz zato napiszę ci taki poetyczny i czuły liścik do twojej Beatrycy, że rzeczywiście odbierzesz takie zaproszenie, jakieś dziś odebrał pozornie.

Gospodarz i studenci natychmiast otoczyli dającego się, lecz już cokolwiek uspokojonego kapitana.

— Tymczasem, szanowny Hipokracie, mówił dalej pułkownik, zwracając się do pleczystego medyka, po-fatygujcie się z panem Janem i przyrządźcie nam na zgodę nowy kocioł ponczu.

— Służymy, służymy, pułkowniku! zawołali obaj akademicy. Jak będziesz wydawał takie rozkazy, znajdziesz nas zawsze gotowymi do ślepego i najprzykładniejszego posłuszeństwa.

— A teraz, rzekł pułkownik, rozciągając się na swoim fotelu i zawołaawszy olbrzymiego kamerdynera, chodź asan na indagację. Dlaczegoś nas zawiódł tak wierutnie? Obiecałeś mnie, panu Janowi

i swojemu panu, że napadniesz sam jeden na pana kapitana, a tymczasem dobrałeś do kompanii jeszcze trzech podobnych sobie drabów.

— A kto to powiedział jasnemu panu? odparł z oburzeniem zagadnięty. Na wszystkie świętości przysięgam, że byłem sam jeden jak palec. Włożywszy kożuch na wywrót i czapkę z baranem, którą nasunąłem dobrze na oczy, oczekiwałem na zdobycz, na rogu odległej ulicy. Skoro ukazał się pan kapitan, rzuciłem się na niego i przyłożywszy mu oręż do piersi, zawołałem groźnie: „Życie lub zegarek i pieniądze.“ Pan kapitan oddał mi zegarek i sakiewkę i chciał uciekać; ale zatrzymałem go za ramię i zawołałem jeszcze groźniej: „Ani kroku! Życie lub pieniądze, które masz w bocznej kieszeni swego surduta!“ Trzeba powiedzieć na pochwałę pana kapitana, że był posłuszny jak dziecko. Oddał mi natychmiast i pugilares. Wtenczas, trzymając ciągle mój oręż wymierzony do piersi, ściągnąłem z niego płaszcz i zdjąłem szablę. „A teraz, rzekłem, na prawo w tył, odwróć się pan i ruszaj z kąd przyszedłeś, ale powolnym krokiem, bo inaczej kulą w łeb!“ Jak tylko pan kapitan obrócił się tyłem, w mgnieniu oka podjąłem leżący na chodniku płaszcz jego i puściłem się co tchu, wiadomymi mnie zaułkami, do domu.

— Ot widzisz, kochany kapitanie, rzekł pułkownik z wesołym śmiechem, któremu wtórowała większa część towarzystwa; prawdę mówiłem, że „strach ma wielkie oczy.“ Napastnik był jeden, a panu się podwoiło, czyli raczej poczwórzyło w oczach, gdyż dowodziłeś nam, że na ciebie napadło aż czterech hultajów.

Zdetonowany i zmieszany kapitan, milczał, pocieszając się kawałkiem strasburgskiego pasztetu i potężnym kufem kseresu, który mu wcisnął prawie gwałtem gospodarz, a którego był w istocie niepoślednim lubownikiem.

— Ale, ale kumie! — rzekł znów pułkownik, zwracając się do kamerdynera. Obiecałeś i zaręczyłeś także iż żadnego gwałtu i nawet żadnej broni nie użyjesz.

— Gwałtu też nie było, a broni żadnej nie miałem, jasny panie, odpowiedział lakonicznie.

— A o jakimże to u licha orężu nam wspominałeś po kilka razy? zapytał pułkownik.

— Eh, mój oręż nie należy do rzędu ani siecznej, ani palnej broni. Nie sposób nim zabić nietylko człowieka, ale nawet kota. Wprawdzie umrzeć od niego można, boć mówią że ludzie i od chleba umierają, lecz chyba z niestrawności. Oto broń moja, dodał facetus kamerdyner, tryumfalnie wydobywając z obszernej kieszeni swojego paltota ogromną kiełbasę, w powłoce z ołowiu. Ten niebezpieczny oręż, wzięty przed godziną z tego stołu, wymierzyłem do piersi pana kapitana. Bóg mi świadkiem, że innej broni nie miałem.

Przy widoku tego improwizowanego nowego rodzaju rewolwera, całe towarzystwo huczynym wybuchnęło śmiechem. Sam kapitan nie mógł wytrzymać i śmiać się zaczął.

— Niech żyje nasz Sancho-Pansa! Vivat! bravo! krzykliwi rozweseleni akademicy.

Pułkownik krotochwilnemu służącemu darował sztukę złota, do której i kapitan, nadrabiając miną i chcąc wszystko w żart niby obrócić, coś dorzucił. Za ich przykładem poszli wszyscy inni i rzęsiście deszcz pieniężny polał się na uradowanego i uszczęśliwionego zucha.

— Szampana! zawołał gospodarz. Wypijemy zdrowie kapitana, a później jego obdziercy, który dziś rzeczywiście zasłużył na miano Sancho-Pansy.

Po spełnieniu tych toastów, zasiedliśmy około kołtła, kędy znów gorzał i buchał błękitnawy płomień, żeby posłuchać powieści kandydata o jego kapitalnym głupstwie, którą z czasem, da Bóg doczekać, czytelnikom opowiem....

RONIEC.

Zgon pieśniarza.

Czego te wichry wyją tak wściekle?
Czego te lasy szumią i trzeszczą?

Czego grom bije iskrą złowieszczą?
Czy się sam szatan powiesił w piekle?

Nie, — dziw się jakiś dzieje w naturze,
Ciemno, ponuro na całym globie;
Anioł zniszczenia grzmi w czarnej chmurze;
Niebo i ziemia toną w żałobie.

Albo to będzie sądu godzina,
I padną światy jak gałąź krucha;
Albo to geniusz oddaje ducha,
Lub geniuszu wstaje dziecina.

Na rumowiskach między skałami
Siadł starzec z brodą i mlęcznym włosom;
Oczy mu błyszczą ognia iskrami
I wciąż coś szepce sobie półgłosem.
U nóg mu harfa leży jak dziecię,
Ale on na nią nie patrzy wcale;
Wzrok tylko topi gdzieś tam w wszechświecie,
Gdzieś po za chmurne błękitu fale.
Takim jest orzeł, gdy skrzydłem pruje
Powietrze, pędząc do gwiazd, do słońca;
Taką jest Wszchemoc, gdy rozkazuje
Czasom, przestrzeniom — bez miar i końca.

I powstał starzec, czoło wzniósł harde,
I znów szepc słyhać, a w słów tych dźwięku
Nie znać wahania, nie widać lęku,
Tylko potęgę, ból i pogardę.

Spojrzał na harfę, a struny płaczą;
Więc ją w ramiona ujął z rozpaczą,
Że aż śpiewaczka biędna jęknęła;
A gdy palcami po niej uderzył,
Nagle melodia taka spłynęła,
Jakby kto wszystkie światy odświeżył,
Jakby Bóg nowe „stań się“ powiedział.
I stał się dziwny w naturze przedział:
Ucichły wichry, umilkły gromy,
Lasy przestały huczeć, oddychać,
I jeden tylko głos było słyhać,
Cudny głos harfy: raz niby łomy
W twardych granitu szybach się wznosił,
Drugi raz jęczał jak dzwon pożarny,
Jakby pomocy żądał i prosił,
Jakby wstępował na stos ofiarny,
Jakby mu świat ten zagrażał mordem.
Potém się rozlał takim akordem,
Że ludzie, góry, doliny, skały,
Drzewa, zwierzęta wszystkie truchlały;
Bo z każdej struny złocistej drgnięcia,
Z każdego ręką mistrzowską mknienia,
Takie cudowne tryskały brzmienia,
Takie czarowne jakieś zaklęcia,
Że chmury gdzieś się rozwiały w górze,
Księżyc wypłynął sobie w błękity,
I świecąc ziemi, srebrzy skał szczyty,
I wszystkie gwiazdy drżą na lazurze.
Zda się że nawet z niebios anieli
Na ten czarowny śpiew zaniemieli,
Bo ich główeczki, splótszy się w wianki,
W krainie tęczy, światel i zorzy,
Niby z róż, llij wonne równianki,
Patrzają się, niemi, na padół Boży.

Wtém podniósł starzec harfę do góry,
Gdzieś ku promiennej, gwiazdzistej stronie,
Jakby ją wysłać chciał za lazury
I na Jehowy położyć tronie.
Potém się zachwiał, zdrzął — pochylił,
Uderzył słabo, lecz takt pomylił,
Upadł i skonał... bez serc, bez ludzi...
I czeka aż go anioł przebudzi.

Gdzież jego chwalcy, bracia rówieśni?
Precz odbieżeli — za tyle pieśni!

Księżyc się zaćmił, jęknęły głązy,
I harfa jękała po kilka razy,
Tak jako matka, kiedy w żałobie
Trumienkę dziecka zobaczy w grobie.
O! ty kochanko, ty złotowłosa,
Gdybyś ty mogła skryć się w niebiososa,
Bo cię tu sercem nikt nie ogrzeje,

Tutaj cię lada robak wysmieje,
Tu lżyć cię będą, smutna sieroto,
Albo wymienią na podłe złoto.
Tubyś musiała klaskać i bawić;
Więc kiedyś mistrza już utraciła,
To i na ciebie czeka mogiła,
Bo niema komu cię tu zostawić.

Z nieśmiertelności gwiazdą na czole,
Młodzian, czy boskie jakieś pachole,
Jakby go rajskie skrzydła przyniosły,
Jak duch z pieśniarza ducha wyrosły,
Stanął przed harfą, przed starca ciałem,
A tocząc okiem smutnym, nieśmiałem,
Kłęka i we czci wielkiej i w wierze,
Spłakaną harfę w ramiona bierze,
Tuli do piersi i obejmuje,
I śpiewać pragnie i grać próbuje....

Hej, hej młodzieńcze! poco i komu
Ty miałbyś skracać dni swe i lata....
A wiesz ty jaka za śpiew zapłata?
Szyderstwo, śmiechy i ślina sromu.
Komu ty śpiewać będziesz, o dziecię?
Komu ty prąść chcesz pieśni z pod serca?
Kto cię zrozumie teraz na świecie,
Kiedy ten świat jest jako bluźnierca?
O synu, dziecię, o żal mi ciebie,
Bo jeśliś pieśnią naznaczon w niebie,
To śpiewać musisz; lecz komu, na co?
Kiedy ci parskną żeś ty pajaco,
Nazwą cię dziwnym, szalonym, zrzedą,
Nawet na grobie twym śmiać się będą.
Patrz... i ten starzec śpiewałem z duszy;
Lecz co wycierpiał bólu i męki,
Ile zniósł kolców, ile katuszy...
Patrz, leży, nie klnie...

Dzięki im dzięki!

I ty chcesz śpiewać?... Gdy w poniewierce
Gad cię obłudny ukąsi w serce,
Gdy cię omijają będą zdaleka,
Jako w zarazie człowiek człowieka,
Gdy w sile wieku jeszcze zamłodu,
Schnąć będziesz biędny z pragnienia, z głodu,
Gdy cię odepchnie twoja rodzina,
Gdy ojciec w tobie nie uzna syna...
O! bądź gotowy na te zapłaty,
Bo takie tylko rwać będziesz kwiaty.

I ty chcesz śpiewać? O moje dziecię,
Może ty pragniesz być w sercu jakim
Aniołem-stróżem, Bożym śpiewakiem,
Możesz ty wiarę złożył w kobiecie?...
Dzięki im dzięki!

Patrz, i ten starzec był jak ty młody,
I w jego licach kwitły jagody,
I kochał taką niebiańską postać,
Że serafinom mogłaby sprostać.
W nią, niby w bóstwa swego oblicze,
Spoglądał jako Dant w Beatrycze;
Tylko że jemu po tysiąc razy,
Biorąc na świadki krzyże, obrazy,
Przysięgą swoje słowa stwierdzała;
On jęć uwierzył — ona kłamała!...

O! za te pieśni co snuł je z duszy,
Tyle wycierpieć bólu i męki,
Tyle goryczy, kolców, katuszy —
I nie przeklinać!...

Dzięki im, dzięki!

Ha! gorzkie słowa naprózno płyną,
Wiatr je porywa i z wiatrem giną,
A zachwycony harfą młodzieniec,
Pieści, całuje struny złociste,
I taki wykwił mu z lic rumieniec,
Takie lzy z ocz mu trysły perliste,
Jak u dziewczęcia, gdy niespodziany
Całus raz pierwszy skradnie kochany.

I zabrał wdowę i poszedł w światy,
Z harfą i z pieśnią nucić do duszy,
A za swe pieśni szukać zapłaty

Takićj, że kamień od niej się kruszy,
Ze stary pieśniarz, już u mogiły,
Na jęj wspomnienie upadł bez siły.

Czego znów wichry wyją tak wściekle?
Czego znów lasy szumią i trzeszczą?
Czego grom bije iskrą złowieszczą,
Jakby się boje toczyły w piekle?

Nie,—dziw się jakiś dzieje w naturze,
Ciemno, ponuro na całym globie,
Anioł zniszczenia grzmi w czarnej chmurze,
Niebo i ziemia toną w żalobie.

Może to będzie sądu godzina,
I runą światy jak gałąź krucha;
O nie, to geniusz upadł bez ducha,
A drugi geniusz działa zaczyna.

Fr. Gumowski.



KORESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Panu K. P. w Warszawie. Dogodzić wszystkim i we wszystkim niepodobna. Jedni domagają się artykułów lekkich, i ci przeważną stanowią większość, inni strawy poważniejszej. Umiejętne godzenie jednego z drugim, jest zadaniem każdej sumiennej redakcyi, które też według sił i możności spełniamy i spełniać nie przestaniemy.

Panu E. Z. w Warszawie. Przyjaciele albo nietrafnie, albo nieszczerze panu radzą. W nadesłanych próbkach, mimo sądu najpobliższego, śladu talentu dopatrzyć się nie możemy.

Autorom wierszy p. t. „Co słyszałem i widziałem“:— „Do Jądwi“:— „Smutna wróżba“:— „Elegia“:— „Tęsknota“:— „Co to być poeta.“—Utwory panów nie kwalifikują się do druku.

Panu M. K. w Petersburgu. Teka nasza redakcyjna zaopatrzoną jest na czas bardzo długi; nie chcąc przeto zrobić panu zawodu, prac jego przyjąć nie możemy.

Panu S. T. w Warszawie. Żalujemy bardzo iż rzecz z taką znajomością przedmiotu napisana, nie pojawiła się w porę. Dział kwesty powodził i t. p. już przebrzmiała.

Panu S. K. w Ławrynowcach. Nadesłanego nekrologu, mimo szczerzej chęci dogodzenia zacnemu życzeniu pańskiemu, drukować nie możemy.

Panu T. B. z gub. podolskiej. Korespondencya pańska zbyt wiele zawiera spraw osobistych, aby ogół zainteresować mogła.

POMIĘDZY SCYLLĄ A CHARYBDĄ.

POWIEŚĆ

przez

Walerya Morzkowską.

(Dokończenie).

Wsiadli do łodzi kierowanej przez dwóch wioślarzy. W miarę jak zbliżali się do skały, łódź, przecinając największy wir fali, chwiała się i kołysała gwałtownie. Prąd walczył z siłą wioślarzy i zwyciężał ich czasem. Piany spadały w około niewidzialnym dęszcem; skały zatrzęsyły się w posadach, a ryk fali jak grzmot nieustanny głużył im słowa na ustach i huczał wkoło ciągłym piorunem.

Wielkie sceny natury harmonizują dziwnie z gwałtownymi uczuciami, podnoszą je, że tak powiem, nad poziom właściwy i przetwarzają, jak gdyby człowiek w obec nich czuł jeszcze więcej małość swoją i chciał się siłą ducha z nią wyłamać.

Józio, oszołomiony zrazu tym warem rozkipiałego żywiołu, oswoił się z nim wkrótce i odetchnął głęboko wilgotną atmosferą która ich otaczała. Czuł jak się niewypowiedzianą rozkosz, gdy znajdował się

z nią razem na tej wątlęj łodzi, rozkołysanej wściekłą falą. Emilia była spokojną zupełnie, jak gdyby nie wierzyła w niebezpieczeństwo, lub nie lękała go się wcale; uważnym okiem przyglądała się pianom wyrzucanym wkoło, pionowej skale która wznosiła się nad ich głowami, — gdy nagle łódź, unoszona silniejszym prądem, lub też źle kierowana, zawirowała na miejscu i poddając bok prądowi, pochyliła się gwałtownie. Józio mimowolnie prawie pochwyił ją w ramiona, jak gdyby w mocy jego było uratować ją z niebezpieczeństwa; ale już łódź, napowrót skierowana, przecinała pędem nurt rzeki.

— Czy nie lękasz się pani? spytał drżącym, zaledwie słyszalnym głosem.

Emilia spojrzała w twarz Józia, wysuwając się z rąk jego. Twarz ta ogorzała była bladą; jednak nie zrozumiała przyczyny trwogi jego i odparła z litosnym uśmiechem:

— Ja się nie lękam, ale uspokój się pan. Nie toniemy jeszcze i za chwilę przybijemy do skały.

— Więc sądzisz pani, zawołał uniesiony żalem i wstydem, że ja bałem się o siebie?

Miał słusność. On widział tylko jęj niebezpieczeństwo, on przy niej zapominał własnego bytu, zapatrzony w nią, rozmarzony, porwany poezją chwili i miejsca. Owiary jęj technieniem, czyniony jęj obecnością, byłby skonał z rozkoszą; a ona posadzała go o nikczemną trwogę i czytał w jęj szyderczym spojrzeniu, że nie wierzyła wcale zaprzeczeniu jego, że nie zwróciła nawet na nie uwagi.

I niedziw: kłamstwo często prawdopodobniejszym jest od prawdy; ludzie wierzą mu tak często, że na rzeczywistość zbraknie im wiary.

Na umysłach świeżych drobiazgi robią czasem niesłychane wrażenie. Ten mały fakt, to spojrzenie Emilii, to posądzenie uczyniło go nagle najniezależniejszym z ludzi, pograżyło w rodzaj rozpacz.

W tej chwili przestał być panem siebie i patrzył na młodą kobietę z wyrazem nieskończonego żalu, serdecznej wymówki; ale spojrzenie to było straconem dla niej. Ona nie patrzyła na niego. Zrozumiał to i powiódł z rozpaczą wzrokiem w około, jakby szukając sposobu uniewinnienia się, przekonania jęj że miłość tylko wywołała tę bladłość na jego lice, ten wykrzyk trwogi na usta.

Są chwile, w których wola i pragnienie ludzkie jest tak silne, że rządzić się zdaje materyalnemu światem, rozkazywać ślepemu trafowi. Drewniany wachlarz, którym Emilia zasłaniała się od słońca, wypadł jęj z ręki. Wachlarz ten, było to prawdziwe arcydzieło, wysilił się na niego artyzm rzeźbiarza i malarza. Emilia przywiązywała do niego szczególną cenę; to też gdy upadł wrzekę, krzyknęła żałośnie i pochyliła się, ale dosięgnąć go już nie mogła. W tej chwili byli już pod samą skałą, która groźnie zwieszała się nad ich głowami i przedzielając szalony bieg wodospadu, tworzyła rodzaj przystani stosunkowo spokojnej wody. Wachlarz kręcił się wśród niej, naprzemian chwytny dwoma prądami.

— Mój wachlarz! mój wachlarz! powtarzała Emilia, patrząc na niego z rodzajem dziecinnego żalu...

Ale zaledwie wymówiła te słowa, cofnęła się w głąb łodzi, zakrywając oczy rękami. Józio jak szalony rzucił się w wodę, usiłując schwytać wachlarz. Na łodzi nastąpiła chwila zamieszania; szczęściem byli już pod samą skałą. Julian schwytał siostrę i zastawił ją pod strażą jednego z wioślarzy, a sam z drugim pośpieszył na ratunek biédnego chłopca, bez nadziei by wściekła woda oddała więcej niż martwe ciało jego.

Z łodzi stojących u brzegu dostrzeżono także szalony wypadek, bo wszystkie prawie skierowały się szybko w dół wodospadu, szukając miejsca gdzie fala wyrzucić go miała.

Emilia tymczasem wbiegła szybko na wierchołek skały, z kądem wzrok jęj dalej mógł dosięgnąć, i pochyłona, bez tchu prawie, śledziła ich bieg zbyt leniwy. Człowiek ten umierał dla jęj kaprysu, fantazyi, szyderstwa, człowiek ten, przed chwilą tak dla niej obojętny, teraz był jęj droższym niż wszystko.

Są błyskawicowe chwile, kruszące najtwardsze serca, są uczucia powstające płomiennie, w mgnieniu oka.

Józio zapewne nie rachował na jęj wzajemność, gdy pół obłąkany żalem, rzucił życie pod jęj stopy; jednak przemówił jedynem słowem, na które stać go było — czynem. Ona teraz musiała wierzyć w miłość jego, musiała wierzyć że nie drżał o siebie. Ta myśl osłodziła mu może ostatnią przytomną chwilę.

On mnie kochał! oto była jedyna myśl Emilii. Życie jęj całe w niej się skupiło, gdy wyteęzała wzrok na biegnące barki, szukające jęj miłości wśród zamętu wód. Przestrzeń cała była głuchą i nie słyszała nic prócz wodospadu i nie widziała nic prócz jego fali.

Mimowolnie obejrzała się wkoło, jakby szukając nadziei i spostrzegła wioślarza stojącego tuż przy niej...

— Czy wyratują go? zawołała gwałtownie, chwytając białą dłoń jego szorstką, spracowaną rękę.

Ale on pokiwał tylko głową i odrzekł z flegmą niemiecką:

— Przed kilku laty Hans Müller rozbił tu łódź swoją i znaleziono tylko tak pokalęczone ciało, żeby go rodzona matka nie poznała. Są ostre skały na dnie rzeki.

Emilia rozpacznie załamała ręce.

— Więc niema nadziei? wyrzekła.

— Nadzieję zawsze mieć trzeba, odparł wioślarz filozoficznie. Przeszłego roku Gotlieb Bergman ześlizgnął się tu z tej skały. Spostrzeżono to zaraz, pośpieszono mu na pomoc i schwymano go ot tam, na zakręcie rzeki, gdzie zatrzymały się te dwie łodzie, mówił wskazując je Emilii.

— I cóż, czy wyratowano go? pochwyliła.

— Gdy wyniesiono go na brzeg, oddychał jeszcze, ale miał strzaskaną głowę i zgniecione żebra.

Emilia jęknęła głucho. Od kilku chwil przestała słuchać jego mowy i wskazywała na łodzie stojące na zakręcie rzeki, z których kilku ludzi rzuciło się do wody. Nastąpiła chwila nieopisana oczekiwania: aż jeden z nich ukazał się na powierzchni, podnosząc bladą, martwą prawie głowę biédnego Józia.

— Czy żyje? czy żyje jeszcze? wołała, żebrząc prawie litosnej odpowiedzi z ust swego towarzysza.

— Życ może, odparł powolnie, bo zaledwie minut kilka był pod wodą; jeśli tylko nie zabiły go podwodne skały, nie zgniotł o nie szalony prąd rzeki.

Emilia, niezdolna słuchać dalej, padła na kolana. Siły ją opuszczały; w tej strasnej chwili modliła się o życie jego.

Józio ostrożnie złożono do łodzi; Julian wspierał mu głowę, rozpiął suknię, szukając serca. Biédny chłopiec trzymał jeszcze wachlarz, jakby na świadectwo, ściskając go konwulsyjnie skostniałą ręką. Z brzegu niesiono go do hotelu, a łódź jedna skierowała się do skały, by zabrać tam pozostawionych.

Emilia wsiadła w nią w milczeniu. Nie śmiała zapytać o życie jego, bo zresztą ludzie ci sami nie umieliby odpowiedzieć dokładnie. W śmiertelnej trwodze przybiła do brzegu, wbiegła na górę i nie zatrzymała się aż w pokoju, w którym złożono chorego. Julian spotkał ją we drzwiach.

— Bracie, zawołała patrząc w twarz jego poważną i smutną; bracie! I nie mogła powiedzieć więcej: słowa konały jęj na ustach.

Julian zrozumiał ją, jak zawsze, i odpowiedział tym jednym wyrazem:

— Żyje.

Emilia nie odrzekła nic, tylko ręce złożone przycisnęła dziękczynnie do piersi bijącój.

— Żyje, powtórzył Julian, ale dotąd nie odzyskał przytomności. Lekarz nawet nie odpowiada za życie jego.

Od tej chwili Emilia nie odstępowała łóżka chorego, który leżał w gorączce, wymawiając beładne słowa, pomiędzy którymi imię jęj powracało nieustannie. Ona godziny całe wpatrywała się w te pospolite rysy, powleczone śmiertelną bladłością, a miłość przetwarzała je i wrażała w serce. Drząc o jego życie, kochała go z namiętnością rozpacz, z siłą wyrzutów sumienia, z trwogą że go stracić może, z przekonaniem że on jeden zdolny był ją tak kochać, że umierał dla niej. Byłaby dała życie, by mógł przynajmniej zrozumieć jęj głos, by mogła w nagrodę tego co przecierpiał, powiedzieć mu: ko-

cham! i usłyszeć przebaczenie z ust jego. I marzyła o chwili w której otworzy oczy, ujrzy ją przy sobie i szeptała mu słodkie, pieszczotliwe słówka. I zdawało jej się że czyta na jego ustach odpowiedzi jakich pragnęła, zapominając że Józio nie potrafiłby ich uczynić. Sądziła że miłość i szczęście przetworzą ten umysł zamknięty, że aby znaleźć słowo płynące z serca, nie potrzeba nauki ni wykształcenia, — słowem kochała go szalenie, z zapomnieniem wszystkiego co stało pomiędzy nimi.

I pierwsza chwila przytomności stwierdziła niejako jej marzenia. Gdy Józio otworzył oczy, gdy poznał ją siedzącą przy łóżku swoim, wdzięczność jego nie miała granic. Nie znajdował słów by przemówić do niej, tylko złożył ręce jakby do modlitwy, spoglądając na nią z zachwytem, a wzrok ten był wymownym bardzo, bo ona błada i drżąca nachyliła się ku niemu, lekką dłonią rozgarnęła mu włosy na czole i wpatrywała się w niego.

— Pani! szepnął Józio. Jesteś piękną i dobrą jak anioł.

Od tej chwili Józio wracał powoli do zdrowia, życia i szczęścia. Emilia czuwała nad nim, Emilia podawała mu lekarstwa, Emilia opatrywała rany. Z razu osłabionym był bardzo i kiedy chciał mówić, ona kładła mu palec na ustach, nakazując milczenie z czarującym uśmiechem. I kochała go coraz bardziej, z całą siłą swego gorącego serca, któremu puściła wodze, może za te chwile trwogi i męki, może za własne marzenia. Czynn szaleństwa brała za rycerskość, za dowód że raz przeciw spotkała się z prawdziwym uczuciem. Józio przetrwarzał się i obrzymiał w jej oczach; teraz nawet rysy jego nabierały dziwnego wdzięku i przeobrażone miłością, zdawały się odbijać jej myśli i wrażenia. Ileż razy siedząc nad uspiętym, patrząc na niego, snuła złote nadzieje przyszłości, kładła mu w usta słowa które pragnęła usłyszeć, stroiła całą fantazyą stęsknionego serca tę powszednią postać, przetrwarzała ją, stawiała na piedestalu i oddawała w ofierze najczystsze uczucia swoje; bo wszakże teraz mogła to uczynić bez trwogi: on dowiódł że ją kocha więcej niż samego siebie.

Wszystko szło bardzo dobrze, dopóki niemoc przykuwała go do łóżka, póki rozkaz doktora zamykał mu usta. Ale Julian lękał się chwili, w której Józio wi przemówić przyjdzie. On obrachował tę naturę, wiedział że pierwsze słowo rozwieje urok i ukaże Emilii moralną przepaść oddzielającą od niej Józia, a wiedział że mezalians umysłowy był dla niej niepodobnym.

Ale zdrowie wracało z dniem każdym, Józio coraz śmielszy i swobodniejszy, odkrywał jej jakiś niedobór, raził niestosownym słowem. Emilia nie widziała tego lub widzieć nie chciała, z zaślepieniem i uporem serca kobiety która kochać pragnie; tylko na jej bladym czole zbierały się coraz chmurniejsze myśli.

Po kilku tygodniach Józio mógł już, wspierając się na ramieniu Emilii, wyjść na balkon swego mieszkania i odetchnąć po raz pierwszy świeżym powietrzem.

Młody człowiek osłabiony był bardzo, za każdym krokiem bladł i chwiały się. Ona przywiodła go do przygotowanego fotelu i sama stanęła we drzwiach, zapatrzona w niego. Balkon miał widok na wodospad i zdaleka dolatywał szum jego nieustanny. Józio spojrzął na to miejsce z uśmiechem; Emilii zdawało się że odgadła ten uśmiech.

— Ja nie mogę patrzeć na ten wodospad, wyrzekła odwracając oczy.

— Dlaczego? spytał Józio.

Zdziwiła się, że jej nie zrozumiał; ale on, nie zważając na to, mówił dalej:

— Wprawdzie nie tu tak bardzo pięknego nie ma; zwyczajnie woda, jak ta co spada z kół młyńskich.

I żadne z tych słów, które są pieszczotami myśli, nie przyszło mu na usta. Emilia spojrzęła na biednego chłopca, zidealizowanego tak bardzo w jej myśli. On nie miał nawet poczucia strasznej niezręczności swojej; był teraz znacznie śmielszym z nią i naiwnie odkrywał jej myśli swoje.

Jednak ona mówiła dalej, próbując dostroić go do tonu swego.

— Nie mogę patrzeć na te fale, które cię pochłonać mogły. Nie trzeba mieć sumienia, dodała miękko głosem, by tak niebacznie narażać życie i nie mieć nawet względu na cudzą trwogę.

I na samo wspomnienie tej chwili łzami zasłzyły jej oczy. Józio, uszczęśliwiony, rękę jej poniósł do ust, ale nie poprzestał na tej niemiej odpowiedzi.

Daruj mi, wyrzekł; zrobiłem wielkie głupstwo.

I wymówił to spokojnie, w niewinności ducha i żaden dobry anioł nie zatrzymał mu tych słów na ustach.

Miał słusność: to co uczynił było prawdziwym głupstwem; ale czy wszystko zawsze można nazwać po imieniu bez szkody? czy jest kobieta któraby w podobnej chwili dobrze przyjęła podobne słowo, coby usłyszała z rozkoszą, że poświęcenie dla jej fantazyi było głupstwem?

Emilia cofnęła rękę.

— Teraz nie uczyniłyś pan tego pewno? spytała z odcieniem ironii.

Odcień ten był stracony dla Józia.

— Pewno żenie, odparł wesoło, żalby mi było życia.

Było tyle szczerości w jego uśmiechu, że i ona uśmiechnęła się mimowolnie; zaślepienie jej było tak wielkie, że od razu opuścić jej nie mogło.

Przyniosła wachlarz połamany i starty.

— I naraziłeś życie, wyrzekła dla tego marnego cacka. Ten wachlarz nie opuści mnie nigdy.

— Ten wachlarz, odparł, nie zda się już na nic. Teraz można go bezpiecznie puścić z wodą.

Emilia wyrwała mu go z ręki, zgorziona, jak gdyby łączył czynunek do słów, i zamyśliła się głęboko. Smutna rzeczywistość zaglądała jej w oczy. On kochał ją, ale cóż z tego. Uczucia jej i myśli nie znajdowały w nim echa; przy jego boku nie przestawała być samotną. Czyż miłość, to najwyższe zespolenie dwóch duchów i dwóch serc, mogła istnieć między nimi, gdy rozdźwięk odzywał się w każdym zamienionym słowie? A choćby nie chciała, musiała go dosłyszeć.

Tymczasem Józio patrzył na nią, nie domyślając się bynajmniej że stracił w jednej chwili to wszystko co zdobył dotąd, nie domyślając się nawet że ją zraził. Odcienia jej uczuć leżały zupełnie po za granicami jego pojęć; żadnym promieniem dosięgnąć ich nie mógł. One były dla niego czémś nakształt tego, czém są gwiazdy ostatniej wielkości dla człowieka nie znającego teleskopu; nie domyślał się nawet ich istnienia i marzył spokojnie o miłości i szczęściu, które nigdy jego udziałem być nie miało, dopóki jednostajny szum Renu nie ukołysał go do snu błogiego.

Gdy Emilia, po długiej walce sama z sobą, wahać się znów spojrzęła na niego, spał snem sprawiedliwych. Ona stała przy nim wsparta o okno, spoglądając na niego wzrokiem smutnym ale i chłodnym, z niezbadanym uśmiechem na ustach. I w sercu jej po raz pierwszy powstało pytanie: „Czy kochać warto?” poraz pierwszy, nie mogąc wątpić o nim, wątpiła o sobie i o tém wszystkiem, co dotąd było wiarą jej życia.

Józio spał ciągle; bezmyślny uśmiech igrał na jego ustach, z piersi wydobywało się kiedy niekiedy głębokie chrapanie; ale Emilia zdawała się zapominać o nim, pogrążona w chaosie myśli które stanowić miały o całej jej przyszłości. Wobec niego badała siebie; uzbrojona nieubłaganą logiką, przypominała sobie wszystkie chwile z nim spędzone i roztrząsała je w sercu, a w miarę jak zagłębiała się sama w siebie, twarz jej bladła i poważniała. Znać życie odkrywało się dla niej w całej smutnej nagości, odarte z ułud i marzeń młodzieńczych, surowe, twarde, bezbarwne.

Gdy Józio otworzył oczy, doktor jego wchodził do pokoju z wieczorną wizytą. Emilii już nie było.

— Musiała się znużyć, szepnął sam do siebie, przecierając oczy.

Wychodząc doktor spotkał na dziedzińcu Juliana z Emilią.

— Nasz chory już przyszedł do siebie, wyrzekł z uśmiechem zadowolenia. Nie potrzebuje już więcej rad moich; za kilka dni będzie mógł wyjechać.

I oddalił się, uradowany tak pomyślnym skutkiem kuracyi.

Emilia odetchnęła głęboko, jakby te słowa wracały jej swobodę działania. Spojrzęła na brata: wzrok jego był badawczy.

Czas jakiś szli w milczeniu oboje.

— I cóż zamierzasz teraz?

Julian widać czytał w myślach siostry; od kilku godzin tkwiło tam to pytanie.

Ale ona zrazu nie znalazła odpowiedzi; on nie nalegał. Szli dalej wśród ciszy zapadającego mroku, zabłąkani w przepaściach myśli.

— Bracie, rzekła w końcu Emilia stłumionym głosem, a jednak stanowczym Czy pamiętasz ten dzień, gdy po raz pierwszy zrozumieliśmy się, gdy cierpiała i znalazła w tobie spótczucie radę i wsparcie?

— Pamiętam, odparł. Ale dlaczego ten dzień, wspominasz?

— Prosiłeś mnie o rok zwłoki, o rok cierpliwości.

— Czyż żałujesz tego?

— Nie, Julianie, ten rok nie upłynął jeszcze.

Brat spojrzęła na nią, jakby pytał co powiedzieć chciała.

— Ten rok nie upłynął jeszcze, powtórzyła po chwili, a jednak uznałam już słusność rad twoich.

— Jakto? zapytał.

— Tak jest, mówiła dalej spokojnie i smutno. Byłam szaloną; ty byłeś w prawdzie. Życie nie ma już dla mnie żadnej ponęty nowój. Poznałam czczość marzeń moich; porzuciłam nadzieje. Nie warto zmieniać tego co jest, bo niema czego w miejsce to postawić; niewarto szukać dróg nowych: wszystkie prowadzą do jednego celu.

Spuściła głowę na piersi i szła wolno, wspierając się całym ciężarem na ramieniu jego.

Jakże daleką była ta kobieta od tej, co niespełna rok temu siedziała wśród kwietnego ogrodu, z uśmiechem szczęścia i niewiadomości na ustach, z okiem tak niezłomnym, tak ufnym, tak promiennym!...

Brat opasał ramieniem jej kibić, rękę jej ścisnął w swoich i rzucił w górę wzrokiem ponurym, jakby wymawiał niebu! przekwit tej czystej istoty, zgniecionej w nieubłaganych kolejach życia; ale nie znajdował słów dla niej.

— Jestem zmęczona, mówiła dalej Emilia, podnosząc na niego oczy przymglone, zagaste. Ja już niczego nie chcę, niczego nie pragnę. Nauczyłeś mnie że niczego pragnąć nie warto.

I znowu między nimi nastała cisza długa. Oboje słów swoich szukali w głębi serca.

— Emilio, rzekł w końcu Julian, a głos jego drżał jakby od wahaniasię myśli; wolałbym gdybyś ty mnie była przekonała, a nie ja ciebie.

Ona smutnie wstrząsnęła głową.

— Powtórzę ci własne słowa twoje, bracie: „Zmień świat i ludzi na nim, bo inaczej nazwą cię szaloną.“ Powiedzieliś mi to, czy pamiętasz?

— Pamiętam, odparł ponuro. A jednak, Emilio, gdybyśmy mylili się oboje!... Mnie dręczy ta wątpliwość. Czy jesteśmy w prawdzie, biorąc za ogólną normę nasze własne zawody? Czasem, gdy odwrócę wzrok od przeszłości, gdy spojrzę na tę głęboką kopułę niebios, zasianą srebrnymi gwiazdami, na harmonię otaczającego świata, jakiś głos zewnętrzny szepce mi, że mylić się mogę, bo to wszystko w co wierzyć przestałem, zdaje mi się zapisane niestartem zgłoskami tam i w głębi serca mojego.

Emilia spojrzęła na niego i jakiś promień rozjaśnił jej mgliste oczy; ale promień ten zgasł szybko.

— Może masz słusność, wyrzekła; ale cóż ztąd? Jeśli wszystko co piękne istnieć może tu na ziemi, to nie dla mnie już i nie dla ciebie. Chociażbym widziała, nie uwierzę, choćbym posiadała, nie umiałabym ocenić. Siła, miłości i wiary wyczerpała się niepowrotnie w zapasach i starciu z ludźmi; serce moje pozostało pomiędzy Scyllą a Charybdą życia.

K O N I E C .